

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

Nieludzczy mieszkańcy sieci

/ M3

FOT. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3), UNSPLASH

Polityka / M5

Bronią mnie fakty

Celem współpracy w rządzie nie jest
sympatia ministrów czy nawet premiera,
lecz załatwianie spraw ludzi
mówi Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz

Świat / M8

Pożegnanie z Ameryką

Europa nie ma wspólnej recepty na kryzys
w transatlantyckim małżeństwie. Ale coraz więcej
państw chce ograniczenia zależności od USA
pisze Karolina Wójcicka

Opinia / M18

Wzrost bez inwestycji

Jeśli w Polsce dokonywanie wielkich reform jest
marzeniem ściętej głowy, to niech w gospodarce
dzieją się choć rzeczy mniejsze, ale niebłahe
przekonuje Jan Cipiur



Ameryka / M14

Trump na wojnie z historią

MAGA nie chce widzieć pęknięć w przeszłości USA: niewolnictwa czy wyzysku imigrantów. Administracja wzięła się do cenzurowania instytucji kultury
pisze Emilia Świątochowska

Kultura / M21

I kto jest potworem?

Książka „Dlaczego ryby nie istnieją” to oryginalna historia o stracie i odnalezieniu siebie. A także o kulcie siły, władzy i rasowego suprematyzmu
recenzja Piotr Kofta



FOT. WOJTEK GÓRSKI

W tej sprawie szkoła musi błysnąć innymi umiejętnościami

Jan **Wróbel**

Portal Filmwshkole.pl zachęca do oglądania przez szkoły filmu „Głos Hind Rajab”. Warto pięć razy pomyśleć, nim podejmiemy taką decyzję. To film bardzo mocny. Jego prawdziwą bohaterką jest dziewczynka z Gazy uwięziona w samochodzie. Pozostali pasażerowie – rodzina sześciolatki – zginęli od kul żołnierzy. Rozpacziwa próba zorganizowania pomocy w warunkach wojny w niczym nie przypomina zwyczajowej filmowej narracji, w której napięciu towarzyszy nadzieja, że dobro wygra.

Z jednej strony uzasadniony wydaje się lęk, że nawet dla odpowiednio (oby!) przygotowanych przez nauczyciela uczniów „Głos...” jest po prostu za mocny na szkolny użytek. Z drugiej – można argumentować, że wojna jest okrutna i niszczy także dzieci – czego doświadczyli też nasi dziadkowie. Szkoła powinna uczyć prawdy, a nie bajek, które potrafią przerobić prawdę w barwną opowieść o dzielnych ludziach.

„Głos...” jest prawdą, nie opowieścią. Budzi mnóstwo antywojennych emocji, a przy tym głęboką solidarność z ofiarami decyzji o używaniu przemocy w rozstrzyganiu konfliktów. Ale traumatyzuje. I – trzeba to jasno powiedzieć – budzi wście-

kłość na Izrael. Żołnierze, którzy zabili bliskich dziewczynki, to Izraelczycy. Rząd, który zdecydował o operacji masowego odwetu na ludności cywilnej po atakach Hamasu, to rząd Izraela. Niemoc, której doświadczają wolontariusze pragnący pomóc Hind, jest wynikiem obecności izraelskich wojsk.

Nie jest winą autorów filmu, tylko Izraela, że polityka Tel Awiwu wobec mieszkańców Gazy była podczas tej wojny zbrodnicza. Nie zmienia to faktu, że w szkolnej narracji niełatwo będzie skutecznie, a nie tylko w ładnych deklaracjach, rozgraniczyć fale emocji przeciwko państwu żydowskiemu od postaw antysemickich. Trudne nie oznacza niemożliwe. Nie oznacza też, że lepiej trudnego tematu unikać. Przeciwnie, szkoła powinna brać się do omawiania rzeczy ważnych – a temat „Polacy-Żydzi-Izrael” jest właśnie taki. „Głos...” daje dodatkowy powód, by to zrobić dobrze. A dobrze nie będzie łatwo. Szkoła przyciśnięta programami, ewaluacjami, rankingami itd. niemal wszystkie siły rzuca na wypełnianie zadań dydaktycznych. A w tej sprawie musi błysnąć innymi umiejętnościami. ©



FOT. KAVEH KAZEMI/GETTY IMAGES

Analiza / M12

Teheran jak Sarajewo

USA chcą szybkiego upadku reżimu w Iranie. Pekin chce podtrzymać władzę ajatollahów

piszą Mehmet Berk Aluç i Michał Kuź

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń
(kierownik), Piotr Czarnowski,
Emilia Świątochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybacki (tygodnik SiA),
Leszek Jaworski
(tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo
oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki
Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum
Reklamy:
Michał Krukowski
Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie
biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing
Group S.A.



Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania
i skracania tekstów. Rozpowszechnianie
materiałów redakcyjnych zarówno w formie
elektronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
® – znak odpłatności;
©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego
wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem
(www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem
korzystania z artykułów prasowych



Zamówienia
na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

Nieludzczy mieszkańcy sieci



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3), UNSPLASH (2)

Otoczają nas niewidzialne istoty.
Rozmawiamy z nimi, wysługujemy się nimi,
ale też dajemy się im oszukiwać. Boty są już
wszędzie i mogą nam szkodzić albo pomagać

Sebastian

Stodolak

Niewiele rzeczy irytuje mnie tak bardzo jak infolinie wykorzystujące wirtualnych asystentów. „Jestem Mia, wirtualna asystentka operatora sieci...” – w tym miejscu zwykle przerywam, żądając połączenia z konsultantem. Ci wirtualni niby mówią ludzkim głosem, ale w dynamice rozmowy z nimi jest coś wyjątkowo irytującego.

Z wirtualnymi asystentami trzeba się będzie jednak oswoić. Jak prognozuje firma badawcza Gartner, w 2029 r. aż 80 proc. kontaktów z obsługą klienta będzie się odbywać bez pośrednictwa człowieka. Rynek już zdecydował. Ale nie tylko w dziedzinie obsługi klienta internet zamienia się w przestrzeń interakcji ludzi z botami. Setki tysięcy, jeśli nie miliony takich programików działają w takich obszarach jak obrót akcjami, systemy automatyzujące procesy biurowe, e-commerce, rozrywka... Nie zapominajmy też o chatbotach udających ludzi na portalach społecznościowych. Wizja rodem z filmów s.f. się ziszczyła: żyjemy w otoczeniu robotów, ale jako że ich jestestwo

sprowadza się do niewidzialnego kodu binarnego, rzadko w pełni to dostrzegamy.

Otoczają nas boty

Kultura popularna wyobrażała sobie najczęściej roboty jako androidy, jak w „Pozytronowym człowieku” Isaca Asimova, czy filmie Ridley’a Scotta „Blade Runner”. To zrozumiałe, skoro w czasach przedinternetowych nie istniała dla tych wyobrażeń przestrzeń inna niż materialna. Owszem, od początku XX w. już snuto wizje globalnej sieci wymiany informacji, ale nikt raczej nie wyobrażał sobie formy, jaką ta sieć w rzeczywistości przyjęła.

W 1910 r. powstało w Brukseli Mundaneum – instytucja, której celem było zebranie całej wiedzy świata. W wizji Paula Otleta, jednego z pomysłodawców, miało to być pierwszy krok do zautomatyzowanego i powszechnego dostępu do informacji uzyskiwanego za pośrednictwem specjalnych terminali z dowolnego miejsca na świecie. Ani on, ani H.G. Wells czy Arthur C. Clarke – inni autorzy snujący wizję globalnych sieci informacyjnych – nie

przewidzieli, że będą one przestrzenią nieustannego dialogu, interaktywnej rozrywki, a przede wszystkim aktywności komercyjnych. Wyjątkowo rzadko wyobrażano sobie, że taka sieć będzie czymś więcej niż biblioteką i że przeciętny człowiek będzie spędzał w niej dziennie 6 godz. i 38 min, z czego aż 2 godz. i 21 min przypadnie na portale społecznościowe (dane za raportem „Digital 2025”). Wyłączając sen, przeżywamy więc w sieci średnio ponad 40 proc. czasu.

Może się nam wydawać, że wchodzimy w niej w interakcje przede wszystkim z innymi użytkownikami. W praktyce bywa różnie. Załóżmy, że jesteś nowicjuszem w którejś z sieciowych gier wideo w trybie multiplayer. Zaczynasz swoją przygodę od najprostszych poziomów, by w ogóle poznać reguły gry, a przede wszystkim polubić ją. To cel jej twórców, więc projektują ją tak, by twój początkowi przeciwnicy byli liczni i łatwi do pokonania, a żeby tacy byli, muszą być... sztuczni i maksymalnie nieodróżnialni od prawdziwych graczy. Anihilacja wirtualnych wrogów idzie ci jak z płatką i daje poczucie kompetencji oraz satysfakcję, które sprawia-

ją, że nie tylko będziesz grał nadal, lecz może nawet wykupisz dodatkową broń czy strój dla swojego bohatera.

Gra to tylko jedna z sytuacji, w których obcujemy z botami, nie zdając sobie z tego sprawy. Przykładowo wyświetlający się w okienku czatu asystent o imieniu Daniel nie odpisuje ci od razu. To sugeruje, że się namyśliła, a więc że po drugiej stronie znajduje się prawdziwa osoba. A to tylko bot. Albo w aplikacji randkowej pisze do ciebie ktoś zjawiskowo piękny, szybko angażuje się w pełną flirtu rozmowę, a ty już szykujesz się do ekscytującej randki. W końcu okazuje się, że aby kontynuować rozmowę, musisz wykupić pakiet premium. Bo był to tylko bot. Przynęta. Albo na twoim facebookowym „wallu” pojawia się nagły wysyp komentarzy o złych Ukraincach, każący ci podejrzewać, że Polacy szczerze ich nienawidzą. A to tylko boty mające zaogniać nastroje społeczne w Polsce. Według „Bad Bot Report” już ponad 50 proc. całego ruchu w sieci generowane jest przez boty. Aż 37 proc. – przez te złe, którym zainstalowano złe intencje. Ignorować tego zjawiska nie można, ale jak sobie z nim radzić? ▷

Efekt Elizy

Powinniśmy unikać niejasności i wytłumaczyć, czym dokładnie są – z technicznego i filozoficznego punktu widzenia – boty. (Ro)bot nie ma własnej woli i intencji działania. Jest programem, któremu twórca – człowiek – nadaje konkretny cel, a więc wyposaża go we własną intencję, po czym nadaje mu autonomię decyzyjną do jej realizacji i osadza w zewnętrznym środowisku działania. Bot to zatem cyfrowy agent człowieka.

Przed rozwinięciem technologii uczenia maszynowego, a w jego ramach dużych modeli językowych (LLM-ów), „silnikiem” większości botów były sztywne reguły i scenariusze pisane przez programistów, co czyniło je narzędziami o wąskim zastosowaniu. W książce „Artificial Unintelligence” prof. Meredith Broussard z New York University pisze: „Można wymyślić odpowiedzi, które będą pasowały do większości sytuacji, ale nie do wszystkich. Zawsze będą istniały ograniczenia co do tego, co komputer może odpowiedzieć na wypowiedź człowieka, ponieważ zawsze będą istniały ograniczenia wyobraźni ludzkiego programisty komputerowego. Nawet crowdsourcing nie będzie wystarczający, ponieważ nigdy nie będzie wystarczającej liczby osób, aby przewidzieć każdą możliwą sytuację”.

Broussard poprzedza te wywody przykładem pierwszego w historii chatbota – programu Eliza. Ten przedstawiony światu w 1966 r. program symulował rozmowę, opierając się na metodzie psychoterapeutycznej rozwiniętej przez Carla Rogersa w początkach lat 40. XX w. Twórca Elizy, pracujący na MIT Joseph Weizenbaum, wybrał tę metodę, ponieważ opierała się ona na technice aktywnego słuchania i tzw. odbiciu lustrzanym (parafrazowaniu wypowiedzi pacjenta), co pozwalało programowi na prowadzenie spójnej interakcji przy minimalnej konieczności posiadania realnej wiedzy o świecie czy głębokiego rozumienia kontekstu. Ciężar budowania sensu rozmowy przerzucono na użytkownika.

Nawet jeśli Eliza w porównaniu z dzisiejszymi opartymi na LLM chatbotami wydaje się wyjątkowo prymitywna (spróbujcie porozmawiać z nią na stronie masswerk.at/elizabot/), to i tak w swoich czasach robiła na swoich rozmówcach na tyle duże wrażenie, że spontanicznie dzielili się z nią swoimi prawdziwymi problemami. Weizenbaum w ich reakcjach dostrzegł coś, co potem nazwano efektem Elizy. To bezwiedne i nieświadome przypisywanie programom komputerowym ludzkich cech – mimo pełnej wiedzy na temat natury bytu, z którym się porozumiewamy. Siła tego efektu sprawiła, że stosunek Weizenbauma do badań nad sztuczną inteligencją i jej potencjalnych zastosowań stał się, delikatnie mówiąc, ambiwalentny. „Ponieważ obecnie nie dysponujemy żadnymi sposobami, aby uczynić komputery mądrymi, nie powinniśmy powierzać im zadań wyma-

gających mądrości” – pisał w pracy „Computer Power and Human Reason” z 1976 r. Dzisiaj jednak to właśnie robimy. W badaniu Cornell University z 2025 r. „75 proc. uczestników, którzy odbyli 20-minutową rozmowę z GPT-4o na temat zdrowia, kariery lub relacji, stwierdziło następnie, że zastosowało się do jego rad”.

Zwycięstwo entuzjastów

Każda technologia ma swoich sceptyków. Einstein, który przyczynił się do rozwoju energii jądrowej, miał w jej kontekście powiedzieć: „Nie wiem, jaka broń będzie użyta w trzeciej wojnie światowej, ale czwarta będzie na kije i kamienie”. Jednak ani Einstein, ani Weizenbaum nie zdołali przekonać ludzkości do porzucenia ich zdaniem groźnych technologii. I tak po Elizie, w 1972 r., przyszedł czas na Parry’ego, czyli pierwszy chatbot wyposażony w „stan psychiczny”: model paranoi, zmienne opisujące poziom lęku i podejrzliwości oraz zdolność reagowania w zależności od przebiegu rozmowy. Bot przestał być wyłącznie zbiorem reakcji na słowa kluczowe i zaczął funkcjonować jako prosty agent z pamięcią i symulowaną osobowością. W 1988 r. pojawił się Jabberwacky, charakteryzujący się zdolnością uczenia się bezpośrednio od użytkowników. Zapamiętywał ludzkie odpowiedzi i wykorzystywał je w kolejnych rozmowach, co oznaczało odejście od ręcznie pisanych skryptów na rzecz statystycznego gromadzenia języka „z tłumy”. W końcu w 1995 r. pojawiła się A.L.I.C.E., która już w pełni weszła w epokę internetu, opierając się na tysiącach reguł tworzonych społeczniowo, stając się pierwszym chatbotem masowo wdrażanym online.

Rok później w prestiżowym magazynie technologicznym „WIRED” ukazał się bardzo obszerny artykuł o tytule „Bots are hot” („Boty są gorące”) i wymownym leadzie: „Panuje botowe szaleństwo, trwają botowe wojny, a coraz bardziej złożone fragmenty kodu krążą po sieci i ewoluują w kierunku sztucznej inteligencji. To wielka technodialektyka, w której każde rozwiązanie rodzi problem, a problem rodzi nowe rozwiązanie”. Lektura tego przenikliwego tekstu sprzed 30 lat pozwala nam zrozumieć, że wielka (ro)botyzacja rzeczywistości nie tylko współwystępowała z rozwojem sieci internetowej, lecz w pewnym sensie była jej warunkiem koniecznym. Dlaczego? Bo rosnąca w postępie geometrycznym złożoność sieci staje się dla ludzkiego użytkownika nieprzenikniona i nie do spenetrowania. Boty miały

ten chaos uporządkować i sięgać po to, co użytkownikowi w danej chwili niezbędne. Andrew Leonard, autor artykułu, zwraca uwagę, że zwolennicy postępu cyfrowego „przedstawiają przyszłość jako świat pełen pomocnych botów, które będą się zajmować informacyjnymi zadaniami dla swoich ludzkich panów: znajdą najlepszą cenę płyty CD, kupią kwiaty dla mamy czy będą informować na bieżąco o najnowszych wydarzeniach w Mozambiku”, ale tak wcale być nie musi, bo przecież – zauważał autor – już wtedy, w 1996 r., boty miały sporo za uszami. Były wykorzystywane do kradzieży, paraliżowania stron internetowych konkurencji, a nawet do siania dezinformacji. Leonard daje przykład bota o nazwie ArgicBot, który śledził grupy dyskusyjne Usenet pod kątem słów kluczowych takich jak „Turcja” czy „Armenia”, a po ich wykryciu automatycznie publikował ogromne ilości antyormiańskiej propagandy, czyniąc wybrane fora praktycznie nieczytelnymi dla użytkowników.

Wydawać by się mogło, że skoro sytuacja do dzisiaj jest podobna – boty wciąż tworzą i rozwiązują problemy – to chyba te tworzone przez nie problemy nie są aż tak poważne. Przecież żyjemy. I to – mimo wszystko – lepiej niż w 1996 r. Zgodnie z przewidywaniami entuzjastów boty zyskały ogromną użyteczność i są źródłem pozytywnych zjawisk gospodarczych. Szacuje się, że w obsłudze klienta dają 25–55 proc. oszczędności w kosztach operacyjnych. Według firmy Gartner da to sumaryczne globalne oszczędności na poziomie 80 mld dol. do końca tego roku.

Oszczędności na poziomie 30 proc. przynosi zastosowanie RPA (Robotic Process Automation), czyli automatyzacji procesów biznesowych. Boty mogą fakturować, wypełniać arkusze kalkulacyjne, a nawet wprowadzać świeżo zatrudnionych pracowników w arkana ich funkcji. „Fortune Business Insights” podaje, że rynek RPA wart jest obecnie ponad 27 mld dol.

Oszczędności i zyski wygenerowane dzięki botom mogą się przełożyć na inwestycje, czyli więcej innowacji, więcej pracy i wzrost zamożności. Boty – tak jak w prognozach z lat 90. – faktycznie pełnią funkcję służebną wobec zwykłych użytkowników sieci, czyli działają nie tylko na korzyść firm. Jest tak, gdy aplikacja bankowa z botem w tle natychmiast kategoryzuje twoje wydatki i pilnuje budżetu, gdy asystent sklepu online sam znajduje najlepszą ofertę i śledzi paczkę aż pod drzwi, gdy filtr antyspamowy czyści skrzynkę z setek podejrzanych wiadomości, gdy nawigacja drogowa w czasie rzeczywistym omija korki albo platforma streamingowa podpowiada odpowiednie dla nas filmy lub muzy-

kę zamiast losowej papki. Oszczędność czasu, którą fundują nam boty, jest nie do przecenienia.

Problem tożsamości

Jednocześnie, przypomną sceptycy, boty w 2026 r. są źródłem poważniejszych problemów niż w latach 90. Wtedy służyły przede wszystkim do blokowania, paraliżowania, zatykania ruchu. Dziś, gdy ich silnikiem są duże modele językowe, potrafią czynić znacznie większe szkody. Wzrosła nie tyle liczba ich wrogich zastosowań, ile ich skuteczność na dotąd rzadziej eksploatowanych polach. Przejmują konta bankowe, tworzą fałszywe tożsamości służące wyłudzeniom, kradną zastrzeżone treści. Co ciekawe, nawet dalszy rozwój sztucznej inteligencji zależy od specjalnego gatunku botów, które znajdują się, oględnie mówiąc, w szarej strefie legalności. Chodzi o programy do web scrapingu, czyli automatycznego przeszukiwania i pobierania treści z internetu w celu budowania ogromnych zbiorów danych, na których następnie trenuje się modele językowe. Bez tego współczesne LLM-y po prostu nie mogłyby powstać.

Ten sam mechanizm z jednej strony umożliwia rozwój narzędzi badawczych, wyszukiwarek, systemów tłumaczeń czy AI wspomagającej pracę ludzi, z drugiej bywa wykorzystywany do masowego kopiowania treści znajdujących się za paywallami, obchodzenia zabezpieczeń serwisów albo budowania baz pod spam i oszustwa. W internecie trwa informatyczna wojna: właściciele treści programują strony tak, by były na boty odporne, a projektanci botów próbują te zabezpieczenia obchodzić. To gra o miliardy.

Bilans gry

Czy ryzyka i straty gospodarcze wynikające z działania botów są większe niż korzyści? To obecnie bardzo trudno ustalić – nie istnieją kompleksowe i metodologicznie poprawne wyliczenia tego typu. Ale też nie wszyscy się zgodzą, że z samego rachunku ekonomicznego wprost wynika akceptowalność botów w ich obecnej formie użycia. Filozof Daniel Dennett przestrzegał na łamach „The Atlantic”, że dzisiaj „po raz pierwszy w historii dzięki sztucznej inteligencji każdy może stworzyć fałszywe osoby, które mogą uchodzić za prawdziwe, w wielu nowych środowiskach cyfrowych, które stworzyliśmy. Te fałszywe osoby zdolne są (...) zniszczyć nie tylko gospodarkę, lecz także wolność człowieka”.

Prawdą jest, że efekt Elizy jest dziś znacznie silniejszy niż sześć dekad temu. Iluzja obcowania z istotami myślącymi tak jak my jest coraz bardziej przekonująca. Publicysta John Thornhill w artykule „How chatbots are changing the internet” na łamach „The Financial Times” zwraca uwagę na powiązany z tym problem koncentrujący się w pytaniu, czym jest

Nie musimy iść na totalną wojnę
przeciw botom. Bycie entuzjastą rozwoju AI
– pod warunkiem, że nie oddamy
całej odpowiedzialności algorytmom – można
pogodzić z humanizmem

TECHNOLOGIA

prawda. Referując debatę na temat sztucznej inteligencji, która zamiast dostarczać nam sprawdzone informacje, halucynuje, wskazuje on prominentnych badaczy nawołujących do nałożenia na duże modele językowe prawnego obowiązku mówienia prawdy. Dla równowagi Thornhill przytacza też argumenty obrońców technologii. Zwracają oni uwagę, że dzisiaj istnieją już skuteczniejsze od ludzkich weryfikatorów narzędzia AI do fact-checkingu, np. stworzony przez Google DeepMind program Safe. Prawda w sieci nie musi więc być bardziej zagrożona niż prawda w realu. Przede wszystkim jednak powtarzają argument o tym, że nadmierna regulacja AI, w tym botów, na obecnym etapie rozwoju technologii może go po prostu zatrzymać. Powtarzają ten argument słusznie, bo (w mojej opinii) nikt go jeszcze nie obalił, a mamy niestety w Unii Europejskiej przykłady, że nadmierna interwencja regulacyjna może właściwie zabić rozwój całych branż. W tekście „Innowacyjność wymaga efektu roju” opisywałem kasus technologii modyfikacji żywności CRISPR, która – choć otwiera drzwi do leczenia chorób, zwiększania plonów czy walki z robactwem – jest przez UE traktowana równie nieufnie jak cały sektor GMO. Potencjał tkwiący w rozwoju AI w obliczu wyzwań, przed którymi stoimy (zapaść produkcyjności, kryzys demograficzny), jest zaś olbrzymi. Dzięki niemu możemy np. uruchomić pokłady kreatywności marnujące się w umysłach mieszkańców najbiedniejszych rejonów świata. Ilu ludzi nigdy nie dostało szansy na bycie kolejnym Newtonem czy Fordem? AI i tworzone za jej pomocą narzędzia (boty) dzisiaj takie osoby mogą wyławiać, aktywizować, rozwijać – włączać w globalną sieć pracy i kreatywności.

Grzechem byłoby zablokować rozwój technologii, która codziennie zyskuje nowe zastosowania. Nie oznacza to, że nie potrzeba żadnych norm. Przepisy wzmacniające transparentność czy oddolne, branżowe kodeksy dobrych praktyk są potrzebne. Należy też stosować do rzeczywistości sieciowej istniejące już prawo i karać twórców botów, które oszukują, kradną i wprowadzają w błąd. Wystarczy sprawne państwo.

Wiele wskazuje na to, że mimo głosów sceptycznych świat, w którym człowiek obcuje codziennie z tymi dziwnymi cyfrowymi istotami, zostanie znormalizowany. Aby to się odbyło z korzyścią dla ludzi, potrzeba zwyczajnego instynktu samozachowawczego. A tego nam, wbrew pozorom, nie brakuje – nie klonujemy się, choć moglibyśmy (wbrew zakazom!), i nie ostrzeżliwujemy się już bombami jądrowymi (mimo że ciągle tym sobie grozimy).

Nie musimy iść na totalną wojnę przeciw botom. Bycie entuzjastą rozwoju AI – pod warunkiem, że nie oddamy całej odpowiedzialności algorytmom – można pogodzić z humanizmem. Nawet jeśli oznacza to konieczność przebrnięcia przez wczesną fazę eksperymentów i obcowanie z irytującymi wirtualnymi asystentami. ©

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

Kraj



FOT. ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Bronią mnie fakty

Celem współpracy w rządzie nie jest sympatia ministrów czy nawet premiera, lecz załatwianie spraw ludzi. A prawdziwa zmiana często się nie podoba, bo łatwiej i wygodniej przypodobać się wpływowym lobby

Z Katarzyną

Pełczyńską-Nałęcz

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

I co teraz?

Zupełnie na chłodno: jako młoda partia przechodzimy turbulencje, ale to nie są pierwsze turbulencje w naszym ugrupowaniu. Dotychczas co nas nie zabiło, to nas wzmocniło. Wyjdziemy z tego, polecimy wyżej i dalej, niż ktokolwiek się dziś spodziewa.

A nie na chłodno? O co tak naprawdę poszło? O ambicje? Personalne animozje?

O to, czy ekipa dezertków umie sobie poradzić z wynikami wyborów. W wielu wywiadach, także w rozmowach z panem, poszczególni posłowie-dezertrzy zaklinali, że uznają rezultaty głosowania, jakie by one nie były. Ale gdy się okazało, że zagłosowała na mnie większość osób przy prawie stuprocentowej frekwencji, to zmienili zdanie. Czy to poważne? Mamy żywą demokrację, a partia – choć ma dziś mniejszy klub niż wcześniej – wie, czego chce i dokąd zmierza.

Opinia publiczna zobaczyła, jak się robi politykę.

Demokracja ma swoje koszty. I, parafrazując klasyka, pewnie nie jest to najlepszy system polityczny, ale nikt niczego lepszego nie wymyślił.

Może rację ma Szymon Hołownia, że niepotrzebnie zgodził się na tak otwarte wybory, że partia do nich nie dojrzała.

Zdecydowaliśmy się w Polsce 2050 na demokrację. Jej koszty były duże: widoczna dla całej Polski debata, emocje, nerwy. Ale umówiliśmy się, że te wybory uznajemy. Kłopotem jest niełojalność wobec własnej partii, własnych wyborców. Mielśmy

po prostu sprawdzian, kto umie w demokrację, a kto nie. Odpowiedź znamy dziś wszyscy. Ale uczciwie mówiąc, nie chodziło tylko o wybory.

A o co?

Od dłuższego czasu tlił się spór ideowy. Linia, którą reprezentuję i która wygrała, odnosi się do naszych rdzennych wartości i żółtego DNA Polski 2050: społeczna gospodarka rynkowa, która nie skupia się na interesach najbogatszych, żerujących na naszym systemie czy wykorzystujących furtki i furteczyki, by zaoszczędzić kosztem innych obywateli. Nie od wczoraj linią, która skupia się na tych uprzywilejowanych, idą Ryszard Petru czy Michał Kobosko.

Ten drugi w liście zarzucił pani socjalizm i dryf w stronę partii Razem.

Socjalizmem ma być wizja wolnego rynku dla konsumentów i klientów, a nie dla wielkich korporacji? Rewolucja mieszkaniowa, która wyhamowała wzrost cen mieszkań i zwiększyła ich dostępność? Podatek bankowy? Nie róbmy sobie żartów.

Przyklejanie lewicowych łatek nie zmienia istoty rzeczy: jesteśmy dziś w centrum. Wyrazistym centrum.

To znaczy?

Prawda leży tam, gdzie leży, a nie po środku. I tak samo jest z centrum. Wyraziście centrum to nie jest miejsce, w którym wszyscy ze wszystkimi mają się spotkać i wszystko ma zostać uśrednione. To miejsce, gdzie reprezentowana jest większość przeciwko uprzywilejowanym grupom lobby-stycznym, uprzywilejowanym grupom mniejszościowym. Ta większość ma swoją reprezentację w nas, w Polsce 2050.

A może jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze? Ci, którzy odeszli, mówią, że nie do końca wiadomo, co się stało z pieniędzmi na kampanię Szymona Hołowni, której była pani szefową.

Każda partia w Polsce musi się szczegółowo i skrupulatnie rozliczać, a później raportować swoje wydatki Państwowej Komisji Wyborczej. Są przecież ugrupowania, które ostatnio miały fundamentalny kłopot z przeskocze-

niem tych rozliczeń. My przeszliśmy to bez żadnych uwag ze strony PKW. Wymyślać można sobie wiele, wrzucać niedopowiedzenia i brudne sugestie, ale są twarde fakty. Gdyby coś było nie tak, to myśli pan, że ktokolwiek w PKW by nam odpuścił? Nawet zakładając, że ktoś może mieć jakieś wątpliwości, to wychodzę im naprzeciw – mamy uchwałę o finansowym bilansie otwarcia partii, który zostanie przygotowany przez nowy zarząd partii. To oczywista oczywistość, że sprawa jest czysta.

Wróćmy do polityki. Zadam teraz pytanie z paska TV Republika: czy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz powinna wspólnie z Prawem i Sprawiedliwością obalić rząd Donalda Tuska?

Nie. Jesteśmy w koalicji rządzącej.

Michał Kobosko pisze, że dąży pani do tego, by uczynić premiera Tuska zakładnikiem swoich działań. Nie od dziś wiemy, że nie ma chemii między panią a szefem rządu.

Rząd to nie jest kółko wzajemnej adoracji, tylko miejsce współdo-

wiedzialności za polskie państwo. Umówiliśmy się na współrządzenie i trudno mi się odnosić do tego, kto kogo lubi, gdzie jest chemia, a gdzie jej nie ma. Celem współpracy w rządzie nie jest sympatia tych czy innych ministrów albo nawet premiera, lecz załatwianie spraw ludzi. A prawdziwa zmiana często się nie podoba, bo łatwiej i wygodniej przypodobać się wpływowym lobby. Wszystko można o mnie mówić, nie mam zamiaru zabiegać o to, żeby być głąskaną przez kogokolwiek, w tym przez największego koalicjanta. Bronią mnie fakty: gdy postawiliśmy na kwestię mieszkalnictwa, pojawiły się realne zmiany. Cała opowieść o tym, kto kogo lubi, to didaskalia i podejsście do polityki na poziomie magla.

Jak będzie funkcjonować koalicja po rozpadzie klubu na dwa mniejsze? Co z ministrami i wiceministrami, którzy są w rządzie z waszej rekomendacji?

W naturalny sposób je wycofujemy. Jeśli ktoś odchodzi z partii, to musi liczyć się z konsekwencjami tego,

Sprawa WIBOR-u rynku nie przewróci

Wyrok TSUE niewiele zmienił dla kredytobiorców złotych. W przyszłym roku WIBOR powinien przestać być ich problemem, gdyż zastąpi go bardziej przejrzysty wskaźnik. Wciąż mamy jednak podwyższone stopy procentowe

Piotr

Wójcik

Gdy frankowicze walczyli o możliwość przewalutowania swoich kredytów, wskazując przy tym wątpliwe, a czasem po prostu bezprawne praktyki stosowane przez banki, kredytobiorcy złotowi słusznie podkreślali, że ich kredyty również cechuje niepewność. Jedni cierpieli z powodu zmiennej wartości franka, który w czasach kryzysów i niestabilności staje się dla inwestorów bezpieczną przystanią, równocześnie jednak przez lata korzystali na bardzo niskich i bardzo stabilnych stopach procentowych stosowanych przez szwajcarski bank centralny, który w czasach wzrostu kursu franka obniżał je w okolice zera. Ci drudzy nie ryzykowali z powodu płynnych kur-

sów walutowych, ale musieli się zmagać z wysokimi i bardziej niż w Szwajcarii zmiennymi stopami procentowymi. Nic więc dziwnego, że widząc sukcesy frankowiczów w walce z bankami, także oni zaczęli domagać się stabilności. Tym bardziej że po pandemii stopy procentowe nad Wisłą skoczyły z okolicy zera (0,1 proc.) do niemal 7 proc. Gdy do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej trafiła sprawa stosowania wskaźnika WIBOR (Warsaw Interbank Offered Rate), także oni poczuli nadzieję na poprawę swoich warunków kredytowych.

Z dużej chmury...

Sprawa okazała się rozbuchana ponad miarę. Wyrok TSUE, który był

przedstawiany jako potencjalnie przełomowy, niewiele zmienił. Trybunał wskazał, że sądy powinny się zajmować wyłącznie oceną prawidłowego poinformowania kredytobiorcy o ryzyku związanym ze zmiennym oprocentowaniem. Nie mogą natomiast oceniać sposobu ustalania wskaźnika WIBOR, gdyż jest on zgodny z unijnym rozporządzeniem BMR i w ten sposób spełnia europejskie standardy. Gdyby sądy mogły wydawać orzeczenia w sprawie samego wskaźnika, złotówkowicze ruszyliby do nich tłumnie, podobnie jak wcześniej frankowicze. Po wyroku TSUE pretensje do banków będą mogły zgłaszać wyłącznie ci, którzy nie zostali należycie poinformowani. Każda sprawa będzie rozpatrywana indywidualnie.

Gdyby europejski trybunał pozwolił na ocenę sposobu określania WIBOR-u, musiałby też zezwolić na analogiczne postępowanie względem wszystkich innych wskaźników referencyjnych, łącznie ze stosowanym w całej strefie euro EURIBOR. Mogłoby to wywołać kaskadę wydarzeń trudnych do przewidzenia.

Kredytobiorcom pozostaje więc sądzenie się z bankami z powodu nieprawidłowego przekazania im wiedzy na temat ryzyka jeszcze przed zawarciem umowy kredytowej. Na korzystny werdykt mogą liczyć szczególnie ci, którym bank nie przedstawił na znormalizowanym arkuszu ESIS informacji takich jak: całkowity koszt kredytu, rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO), zasady potencjalnej zmiany oprocentowania oraz jej możliwe skutki, szczególnie w odniesieniu do wysokości raty.

Stopy procentowe w okresie postpandemicznym wzrosły maksymalnie do 6,75 proc. Od tamtego czasu stopniowo spadały, jednak bardzo wolno.

Od września 2022 r. do sierpnia 2025 r. Rada Polityki Pieniężnej obniżyła je o 1,5 pkt proc. (do 5,25 proc.). Od tamtego momentu RPP przeprowadziła jednak serię znacznie szybszych obniżek. Po pięciu jej decyzjach w grudniu stopa referencyjna NBP wyniosła równo 4 proc., co obowiązuje do dziś.

Rynek mieszkaniowy reaguje

Decyzje RPP w przemożny sposób przełożyły się na sytuację na rynku mieszkaniowym. Według danych Biura Informacji Kredytowej w listopadzie, gdy stopa referencyjna wynosiła 4,25 proc., wartość zapytań o nowe kredyty mieszkaniowe wzrosła o połowę, natomiast liczba udzielonych kredytów o ponad jedną trzecią.

Polski rynek jest niebywale rozbuchany. Widać to chociażby po liczbie czynnych kredytów mieszkaniowych. Według najnowszego raportu AMRON-SARFiN w szczycie w 2021 r. było ich niemal 2,55 mln. W III kw. 2025 r. ich liczba spadła do 2,16 mln. Mowa więc o zniknięciu niemal 400 tys. czynnych kredytów mieszkaniowych. Równie niestabilna jest sytuacja kredytobiorców złotych, dla których każda decyzja RPP przekłada się na miesięczny budżet.

Jednym z rozwiązań, które mogłoby ustabilizować rynek mieszkaniowy, jest okresowo stała stopa procentowa. Udzielana jest zwykle na pięć lub siedem lat, podczas których obowiązuje stałe oprocentowanie. Jej upowszechnienie zmniejszyłoby niepewność – głównie u nowych kredytobiorców, chociaż część starych również mogłaby spróbować wynegocjować z bankiem zmianę swoich umów. Stała stopa procentowa ma też jednak wady.

KRAJ

że nadużył zaufania swoich wyborców i kolegów z ugrupowania.

Będzie pani zabiegać, żeby premier ich zdymisjonował? Od klubu Polski 2050, nowo powstałego klubu Centrum zależy większość w Sejmie. Potrzebna będzie nowa umowa koalicyjna?

Nie widzę sensu renegotjowania umowy koalicyjnej. Na twardo podtrzymujemy rekomendacje dla wszystkich ministrów, którzy są w Polsce 2050. Oni w rządzie zostają. Reszta musi iść z pytaniami w sprawie swoich stanowisk do pana premiera.

Co chce pani zrobić przez te półtora roku, które zostały do wyborów?

Na pewno ciąg dalszy rewolucji mieszkaniowej. Nasza piąta ustawa ma uregulować najem krótkoterminowy. Ludzie mają zdecydować, czy chcą mieć za ścianą hotel na godziny. Kolejna sprawa to ustawa o asystencji dla osób z niepełnosprawnościami. Temat ciągnie się zbyt długo, a to wsparcie jest odpowiedzią na naturalną potrzebę rozumienia

wspólnoty społecznej jako tej, która dba o najsłabszych. Będziemy podnosić też temat podwyżki akcyzy na alkohol, by całość pieniędzy z opłat przeszła do budżetu ochrony zdrowia. Wreszcie: gospodarka. Zaczęliśmy już debatę o podwyższeniu drugiego progu podatkowego i ograniczeniu ryczałtu: dziś ludzie dobrze zarabiający płacą często dwa razy mniejszy podatek niż klasa średnia. A nauczyciele czy pielęgniarki wpadają w drugi próg podatkowy. Ta niesprawiedliwość narasta i nikt nie ma odwagi zająć się tą sprawą. My to zrobimy, nawet jeśli usłyszę na początku, że to niemożliwe, że się nie da. Z podatkiem od banków też na początku się nie dało. Warto byłoby rozważyć na serio podatek od big techów czy poważny, skuteczny podatek od wielkich korporacji, które płacą w Polsce tyle, co kot napłakał.

A co zrobić z programem SAFE? Odpowiem inaczej: dużo dyskutowaliśmy, negocjowaliśmy, korygowaliśmy plan. Co dziesiąta złotówka z Krajowego Planu Odbudowy trafia dziś na Fundusz Bezpieczeństwa i Obronności. To taki mniejszy brat SAFE – 22,5 mld zł, które

zostaną przeznaczone na technologie podwójnego zastosowania polskich firm i infrastrukturę podwójnego zastosowania dla polskich samorządów. Przeszło to bez większego echa, prezydent Karol Nawrocki podpisał tę ustawę, obojętne było, czy była antyagonizująca debatę, kontrowersyjna. Fundusz ruszył. Można? Można.

To dlaczego nie można tak samo zrobić z SAFE?

Odpowiedź jest prosta. SAFE stał się przedmiotem polaryzacyjnej młotki. Istota tematu zaczęła uciekać, najważniejsze stało się to, kto wygra spór i mocniej wypowie się przed kamerami telewizyjnymi. Polaryzacja to zabójca naszego dobra wspólnego.

Jako minister od funduszy unijnych nie ma pani poczucia, że przegrywacie tę dyskusję o przyszłości Polski w Unii Europejskiej? Że postulaty prawicy, nawet tej spod znaku Brauna, są dziś bardziej nośne i nie umiecie na to skutecznie odpowiedzieć?

Staram się opowiadać o unijnych funduszach i planach nie jako o przy-

mowaniu czegoś, co wymyśli Komisja Europejska i inne kraje. Musimy przedstawiać swoje priorytety – opowiadać, jaki jest najważniejszy uzysk dla polskiego biznesu, konsumentów i rolników. A jest nim dodatni bilans z udziału we wspólnym rynku. Mamy nadwyżkę eksportową, nasz biznes i rolnicy zarabiają. Owszem, problemy są – nie wszystkie pomysły Brukseli czy innych stolic są dobre dla Polski. Bez siadania do tego stołu i twardego negocjowania rozwiązania zostaną przyjęte, a my będziemy się musieli do nich dostosować. Skuteczna opowieść o tym temacie jest równie istotna, co dyskusje w Brukseli.

©P



FOT. WOUTEK GÓRSKI

Katarzyna

Pełczyńska-Nałęcz

przewodnicząca Polski 2050, ministra funduszy i polityki regionalnej. W latach 2014–2016 ambasador RP w Rosji

Po wyroku TSUE pretensje do banków będą mogli zgłaszać wyłącznie ci, którzy nie zostali należycie poinformowani. Każda sprawa będzie rozpatrywana indywidualnie

Oprocentowanie jest zamrażane na poziomie określonym w momencie zaciągania kredytu na kilka lat. Dopiero po nich następuje zmiana, która mrozi raty na kolejny okres. Również w tym modelu kredytobiorca jest uzależniony od wskaźnika WIBOR – czyli w dużej mierze po prostu od sytuacji rynkowej – w momencie zaciągania kredytu. Trochę przypomina to hazard – trzeba trzymać kciuki, by dobrze trafić z kolejnymi zmianami oprocentowania. W Polsce, gdzie stopy procentowe sprawiają wrażenie, jakby weszły do windy, to wcale nie musi być lepsze rozwiązanie. Owszem, klienci banków, którzy zaciągnęli zobowiązanie na zmiennym oprocentowaniu, tracą na każdej podwyżce, ale za to korzystają na każdej obniżce. Trzeba pamiętać, że wysokie stopy towarzyszą zwykle okresowi solidnych podwyżek pensji, które kompensują podniesione raty. Gdy zaś stopy banku centralnego spadają, towarzyszy temu niższa inflacja, która chroni oszczędności i wartość wynagrodzeń. Poza tym w okresie rosnących stóp banki udzielają kredytów ze stałą stopą procentową z wyraźnie wyższą marżą (nawet o 1 pkt), by zabezpieczyć się na wypadek wystąpienia okresów droższego pieniądza.

Stopy procentowe wyższe od inflacji

Obecnie można się spodziewać spadku stóp procentowych. Inflacja w styczniu wyniosła 2,2 proc., więc znajduje się w celu inflacyjnym banku centralnego. Tymczasem stopy procentowe są o niemal 2 pkt proc. wyższe od wskaźnika wzrostu cen. Według prognoz analityków bankowych w tym roku dojdzie do dwóch lub nawet trzech obniżek

stopy referencyjnej. PZU prognozuje tylko dwie obniżki, każda o ćwierć punktu, czyli do 3,5 proc. Taką samą prognozę przedstawił też bank PKO BP. Natomiast Alior Bank przewiduje jednak trzy obniżki, też po ćwierć punktu bazowego każda, a więc do 3,25 proc.

Banki chętnie więc udzielają kredytów o okresowo stałej stopie, gdyż mogą się spodziewać coraz tańszego dostępu do pieniądza. Według raportu AMRON-SARFiN w III kw. 2025 r. nowe zobowiązania hipoteczne z okresowo stałą stopą procentową odpowiadały za trzy czwarte udzielonych kredytów zarówno pod względem wartości, jak i liczby. Można zakładać, że bankowcy dysponują zdecydowanie większą wiedzą rynkową niż gospodarstwa domowe. Wniosek: obecnie okresowo stała stopa jest właśnie w ich interesie.

Według badania „Fixed rate versus adjustable rate mortgages: evidence from euro area banks” opublikowanego w 2019 r. przez Europejski Bank Centralny (autorami byli Ugo Albertazzi, Fulvia Fringuellotti i Steven Ongena) jednym z czynników sprzyjających powszechności kredytów o stałej stopie procentowej jest... niska wiedza finansowa gospodarstw domowych. Zaciągnięcie kredytu o okresowo stałym oprocentowaniu niekoniecznie musi być więc przejawem przebiegłości i znajomości ekonomii. Obecnie, gdy można się

spodziewać spadku stopy referencyjnej NBP, nie musi to być dobry wybór pod względem czysto finansowym. Oczywiście, jeśli ktoś wyżej ceni spokój niż pieniądze, to okresowo stałe oprocentowanie jest lepsze niemal zawsze.

Główny problem z WIBOR-em

Niezależnie jednak od zmienności stopy oprocentowania każdy z tych rodzajów kredytu hipotecznego jest oparty na wskaźniku WIBOR. Pomimo że spełnia on unijne standardy, jego określanie jest dosyć mało transparentne. Stanowi on średnią arytmetyczną wysokości oprocentowania, po której banki są skłonne pożyczyć pieniądze innym podmiotom finansowym, po odrzuceniu wartości skrajnych. Nie odpowiada on więc realnym transakcjom, tylko deklaracjom. W ten sposób w okresie rosnących stóp WIBOR jest zwykle wyższy od stopy referencyjnej NBP, gdyż finansisci przewidują, że pieniądź będzie coraz droższy.

W czasie serii postpandemicznych podwyżek różnica między sześciomiesięcznym WIBOR-em a stopą NBP oscylowała nawet ok. 1 pkt proc. Obecnie bankowcy spodziewają się jednak obniżek, więc WIBOR jest niższy. 15 lutego 2026 r. sześciomiesięczny WIBOR

wynosił 3,76 proc., więc można powiedzieć, że analitycy bankowi spodziewają się spadku stopy referencyjnej o ćwierć punktu w ciągu pół roku.

Co w zamian za WIBOR?

Administratorem wskaźnika WIBOR jest Giełda Papierów Wartościowych. GPW Benchmark dysponuje także innymi wskaźnikami referencyjnymi. Jednym z nich jest WIRON (Warsaw Interest Rate Overnight). Opiera się on na realnych transakcjach jednodniowych, czyli szybkich pożyczkach międzybankowych zapewniających płynność. Jest on więc zdecydowanie bliższy aktualnej stopie NBP, co mogłoby zapewnić nieco większą stabilność kredytobiorcom. W 2027 r. WIRON miał zastąpić WIBOR w powszechnie udzielanych kredytach, jednak w zeszłym roku minister finansów Andrzej Domański dokonał kolejnej zmiany koncepcji, zapowiadając wprowadzenie wskaźnika POLSTR (Poland Short Term Rate), który również będzie się opierał na realnym oprocentowaniu niezabezpieczonych depozytów instytucji kredytowych i finansowych. Już za kilka lat temat WIBOR-u może więc zniknąć. Określanie POLSTR będzie o wiele bardziej przejrzyste niż obecnego wskaźnika.

Problemem kredytobiorców złotych pozostają podwyższone stopy procentowe. Po zmianie władzy podejście szefa NBP Adama Glapińskiego się zaostrzyło i właściwie z dnia na dzień przestał być zwolennikiem niskich stóp i słabego złotego. W marcu kończy się jednak kadencja jego zastępczyni Marty Kightley. Przedłużenie jej kadencji będzie wymagać od prezesa NBP ułożenia się z koalicją rządzącą. Elementem dealu może być złagodzenie polityki monetarnej.

©P

Świat

Pożegnanie z Ameryką

Europa nie ma wspólnej recepty na kryzys w transatlantyckim małżeństwie. Ale coraz więcej państw chce ograniczenia zależności od USA

Karolina

Wójcicka

Do niedawna pojęcie derinkingu w unijnym słowniku odnosiło się wyłącznie do Chin. Pod wpływem pandemii, sporów handlowych i reakcji Pekinu na wojnę w Ukrainie Zachód uznał, że musi się od nich uniezależnić. Dziś w europejskich stolicach coraz częściej pojawiają się głosy, że podobną strategię należałoby zastosować wobec naszego najważniejszego sojusznika: Stanów Zjednoczonych. – Europa musi stać się potęgą geopolityczną. Musimy przyspieszyć i zrealizować wszystkie elementy niezbędne do osiągnięcia takiej pozycji: obronność, technologie oraz derisking w relacjach z największymi mocarstwami – powiedział prezydent Francji Emmanuel Macron na ubiegłotygodniowej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa.

Rozwód na horyzoncie

Podejście Francuzów, którzy od lat promują koncepcję strategicznej autonomii, nie dziwi. Jednak w zakulisowych rozmowach o ograniczaniu zależności od Stanów Zjednoczonych uczestniczy coraz większy krąg państw. Już podczas ubiegłorocznej edycji szczytu w Monachium stało się jasne, że relacje transatlantyckie wchodzą w nową, napiętą fazę. – Przyjechał J.D. Vance i zrobił nam awanturę za to, że się źle prowadzimy – wspomina w rozmowie z DGP Joanna Kluzik-Rostkowska, wiceprzewodnicząca sejmowej komisji obrony narodowej i szefowa polskiej delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego NATO.

Wiceprezydent USA w płomiennym przemówieniu oskarżył Europę o odejście od własnych wartości, prześladowanie chrześcijan i stosowanie cenzury. Zasugerował też, że Waszyngton nie będzie akceptował marginalizowania skrajnej prawicy w życiu publicznym. Jego zdaniem największym zagrożeniem dla kontynentu nie są Rosja czy Chiny, lecz jego wewnętrzne problemy. – W Monachium brałam udział w okrągłym stole z parlamentarzystami z państw Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii. Brytyjczyk powiedział wtedy: „Skoro sprawy mają się, jak się mają, to może czas wziąć rozwód ze Stanami Zjednoczonymi?” – relacjonuje Kluzik-Rostkowska.

Sugestia o rozstaniu nie spotkała się wówczas z dużym odzewem. Wkrótce potem Trump i Vance wywołali w Europie polityczny wstrząs, wdając się w Gabinetie Ovalnym w ostrą konfrontację z Wołodymyrem Zełenskim. W kolejnych miesiącach, gdy trwały rozmowy o zakończeniu wojny, prezydent USA prezentował stanowisko postrzegane jako korzystne dla Rosji, a także otworzył kolejne fronty konfliktu z partnerami: wprowadził cła i zagroził przejęciem Grenlandii.

Dlatego w tym roku o deriskingu dyskutowano w Monachium całkiem poważnie. – To był główny temat konferencji i rozmów kuluarowych – podkreśla Bartłomiej Kot, analityk ds. strategii polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, dyrektor Aspen Institute CE w Warszawie.

Wystąpienie sekretarza stanu Marco Rubio, w którym padły słowa o Stanach Zjednoczonych jako „dziecku Eu-

ropy”, nie zmieniło nastrojów wśród europejskich delegatów. Choć jego ton był znacznie łagodniejszy niż przemowa Vance’a sprzed roku, nie przełożyło się to na odbudowanie zaufania do Waszyngtonu. Szczególnie że Rubio skoncentrował się na zagrożeniach związanych z migracją i krytyce europejskich państw opiekuńczych, powtarzając tezy obecne w retoryce Vance’a. Rosji nie poświęcił zbyt wiele uwagi – a tym bardziej nie sformułował żadnych ostrzeżeń pod adresem Władimira Putina. Sekretarz stanu opuścił też spotkanie z europejskimi przywódcami na temat wojny na Ukrainie, co odebrano jako sygnał malejącego zainteresowania Waszyngtonu wysiłkami na rzecz powstrzymania rosyjskiej agresji. Europejczycy obawiają się, że republikańska administracja jest gotowa zgodzić się na prawie każde porozumienie, byle tylko móc ogłosić zwycięstwo. Nawet jeśli oznaczałoby to kupienie Kremlowi czasu na przygotowanie kolejnych ataków, być może wymierzonych w państwa naszego regionu.

– Pozostawanie w pełnym uzależnieniu od Stanów Zjednoczonych nie jest już scenariuszem, w który ktokolwiek chciałby inwestować – twierdzi Kot. Oprócz Francuzów ton debacie coraz częściej nadają Duńczycy, których sceptycyzm wobec Waszyngtonu nasilił się po sporze o Grenlandię. Kot określa oba kraje „autonomistami”. Uważają oni, że należy „porzucić wiarę w stabilną przyszłość sojuszu transatlantyckiego” i że Europa powinna rozwijać własne zdolności polityczne, gospodarcze oraz wojskowe.

Unia nie ma wspólnej recepty na kryzys w transatlantyckim małżeństwie. – Pojawiają się różne koncepcje wzmacniania europejskiej suwerenności. Niektóre państwa i środowiska eksperckie przyjmują bardziej realistyczne podejście niż Francja i Dania – podkreśla Kot. Chodzi o kraje, które uważają, że Europa musi ewoluować w kierunku większej suwerenności, jednocześnie zdając sobie sprawę, że w niektórych obszarach – np. w kwestii parasola nuklearnego – nie da się szybko, łatwo ani tanio zastąpić Stanów Zjednoczonych. Według dyrektora Aspen Institute CE jest to dziś wiodąca grupa na Starym Kontynencie.

Kierunek: Pacyfik

Uniezależnianiu się od Ameryki mają służyć m.in. umowy handlowe, które w ostatnich miesiącach zawiera UE. Było to pierwsze narzędzie, z którego skorzystała Bruksela po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich w USA w 2024 r. – Nadal będziemy dążyć do współpracy – nie tylko z naszymi długoterminowymi, podobnie myślącymi partnerami, lecz z każdym krajem, z którym łączą nas wspólne interesy – mówiła dzień przed zaprzysiężeniem Trumpa szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. W styczniu Bruksela zawarła porozumienia handlowe z Mercosur i Indiami, a także rozpoczęła negocjacje umowy z Australią.

Z doniesień Politico wynika, że UE prowadzi też rozmowy z 12 państwa-





Sekretarz stanu USA Marco Rubio i kanclerz Niemiec Friedrich Merz podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Monachium, 13 lutego 2026 r.

w perspektywie kilku lat potencjał gospodarczy rynków wschodzących będzie dużo większy niż dziś. – Te umowy będą mogły w znacznej mierze zrekompensować ewentualne pogorszenie relacji handlowych z Ameryką, ale oczywiście nie zastąpią ich całkowicie – uważa Rybacki. W 2024 r. wartość towarów i usług wymienianych między USA i Europą przekroczyła 1,68 bln euro, co stanowi niemal 30 proc. światowego obrotu.

Jednak prawdziwy derisking wymaga działań na szerszą skalę. Według Rybackiego jednym z najpilniejszych zadań jest zbudowanie wspólnego rynku finansowego. – Chodzi o to, by zamiast 27 rozdrobnionych rynków kapitałowych powstał jeden większy, zdolny replikować sukces finansowania używanego w Stanach Zjednoczonych – wyjaśnia. Trudniej będzie osiągnąć niezależność w sektorze technologicznym, w którym dominuje „wielka trójka”: Amazon, Microsoft i Google. UE nie ma własnych gigantów technologicznych. – Bardziej obiecującym kierunkiem może być np. energetyka. Europa ma potencjał do tworzenia innowacyjnych rozwiązań w zakresie czystej energii. Podobnie jest z samochodami elektrycznymi – dodaje.

Sceptyczni Europejczycy

Widać już pierwsze ruchy w kierunku większej niezależności. W czwartek szefowie brytyjskich banków odbyli pierwsze spotkanie w sprawie stworzenia krajowej alternatywy dla Visy i Mastercard. Wspierana przez rząd inicjatywa była dyskutowana od kilku lat, ale dopiero wypowiedzi Trumpa o Grenlandii skłoniły instytucje finansowe do konkretnych kroków. Nasiliły się obawy, że poleganie na amerykańskich firmach może zagrozić funkcjonowaniu systemu płatniczego w Wielkiej Brytanii, a w konsekwencji całej gospodarce. Z ubiegłorocznego raportu Payment Systems Regulator wynika, że ok.

95 proc. transakcji kartami w Wielkiej Brytanii wykonywanych jest za pośrednictwem Visy i Mastercard.

W Niemczech rząd Friedricha Merza przygotowuje się na scenariusz utraty amerykańskiego wsparcia wywiadowczego. Berlin planuje zwiększyć o 26 proc. (do 1,51 mld euro) budżet BND, agencji wywiadu zagranicznego, a także wzmocnić jej uprawnienia. Obawy Niemców nie są bezpodstawne – w marcu 2025 r. USA tymczasowo wstrzymały przekazywanie informacji Ukrainie, by wywrzeć presję na Kijów podczas negocjacji z Moskwą.

Zmian w podejściu do USA oczekują sami Europejczycy. Większość z nich nie postrzega już Stanów Zjednoczonych jako sojusznika – tak wskazuje raport przygotowany przez European Council on Foreign Relations (ECFR). Za wiarygodnego partnera uznaje Amerykanów zaledwie 8 proc. Szwajcarów, 10 proc. Hiszpanów i 12 proc. Niemców, Francuzów oraz Włochów. Największym zaufaniem cieszą się oni w Polsce (31 proc.), na Węgrzech (26 proc.) i w Wielkiej Brytanii (25 proc.). Dominuje opinia, że USA to „niezbędny partner, z którym należy utrzymać strategiczną współpracę”. Najwięcej osób przekonanych, że Stany Zjednoczone to „przeciwnik, z którym jesteśmy w konflikcie”, jest w Szwajcarii (21 proc.), Bułgarii (14 proc.) i Hiszpanii (13 proc.). – Dlatego nie mam pewności, czy najwięksi zwolennicy europejskiej autonomii, w tym Macron, faktycznie wierzą w potencjał deriskingu w maksymalistycznej wersji – uważa Bartłomiej Kot. Sugeruje, że unijni przywódcy traktują go jako „agendę polityczną” skierowaną do elektoratu zniesmaczonego polityką Trumpa.

Polska, która według badania ECFR pozostaje najbardziej proamerykańskim krajem, musi zdaniem Joanny Kluzik-Rostkowskiej „grać na dwóch fortepianach jednocześnie”. Jak podkreśla posłanka, w rozmowach z przedstawicielami obozu Trumpa w Waszyngtonie nasz kraj jest postrzegany jako prymus – m.in. za sprawą wysokich wydatków na obronność. – Przekłada się to na wyraźnie większą życzliwość wobec Polski niż wobec Europy jako całości – mówi Kluzik-Rostkowska. I dodaje: „Musimy z tego korzystać, bo jeśli Rosja zdecyduje się zaatakować jakiś kraj NATO, będziemy to my, a nie Francja”. ©

mi należącymi do Partnerstwa Transpacyficznego (CPTPP) – m.in. Kanadą, Wietnamem, Japonią i Wielką Brytanią – w sprawie utworzenia jednego z największych globalnych bloków gospodarczych, obejmującego ok. 1,5 mld ludzi. Portal określił inicjatywę mianem „wielkiego sojuszu anty-trumpowskiego”. „Dla UE przystąpienie do porozumienia miałoby niewielką wartość dodaną. Dlatego prawdą jest, że celem obu bloków jest umacnianie handlu opartego na zasadach w tym szczególnie trudnym czasie” – ocenia think tank Bruegel.

Rozmowom przewodzi Kanada, która – podobnie jak Unia – dąży do niezależnienia się od USA. Krótco po objęciu urzędu Trump nałożył wysokie

cła na sąsiada, określił go „51. stanem”, a ówczesnego premiera Justina Trudeau nazwał „gubernatorem”. – Kanadyjczycy przyszli wtedy do nas i powiedzieli, że chcą gruntownie przebudować swoje sojusze. Dotychczas opierali się głównie na Amerykanach – mówi DGP osoba z otoczenia rządu. Do podobnych wniosków doszły m.in. Australia, Japonia i Nowa Zelandia. – Nagle wszyscy zorientowali się, że Stany Zjednoczone są nieprzewidywalne. W tej sytuacji staliśmy się dla nich ważnym punktem odniesienia – dodaje nasz rozmówca.

To właśnie zmienność i kapryśność amerykańskiego przywódcy skłania kolejne państwa do szukania nowych partnerów handlowych. Jakub Rybacki, ekonomista mBanku, zauważa, że

AUTOPROMOCJA



Bądź na bieżąco ze zmianami w prawie i podatkach

Zyskaj 30% rabatu!

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna



dgp.pl/prenumerata

Tamtego świata już nie ma

Antyrosyjska Ukraina, Rosja już całkiem zależna od Chin, stopniowy powrót Europy do myślenia o własnej sile militarnej i realnej niezależności energetycznej, ale również ostateczne podkopanie świata opartego na prawie i cywilizowanych zasadach. Oto najważniejsze skutki wojny, którą rozpętał Władimir Putin

Witold

Sokała

W nadchodzącym tygodniu miną dwie rocznice. 27 lutego – 12 lat od chwili, gdy żołnierze rosyjskich sił specjalnych, występujący w mundurach bez oznaczeń, rozpoczęli operację militarną aneksji Krymu. 24 lutego – cztery lata od rozpoczęcia pełnoskalowej, otwartej inwazji przeciwko Ukrainie. Między tymi datami Moskwa zorganizowała separatystyczne republiki w obwodach donieckim i ługańskim, przeprowadziła też liczne akcje dywersyjne oraz kampanie z zakresu walki informacyjnej – wymierzone nie tylko w samą Ukrainę, lecz także we wspierające ją państwa trzecie.

Celem nie było jedynie zainstalowanie w Kijowie posłusznych Kremlowi władz oraz spacyfikowanie w Ukrainie tendencji prozachodnich i prodemokratycznych. Ambicje były o wiele większe. Chodziło o skompromitowanie Zachodu – w jego własnych oczach – jako bezradnego widza tego spektaklu, a w efekcie o powrót Rosji na arenę globalną jako pełnoprawnego, mocarstwowego gracza. O zademonstrowanie, że tkane przez lata sieci nieformalnych wpływów i uzależnień ekonomicznych pozwalają wreszcie na jawne odrzucenie przez Moskwę starych reguł.

Bliska historia ku przestrodze

Pierwsza faza wojny, czyli okres od 2014 r. do 24 lutego 2022 r., zdawała się całkowicie potwierdzać realność tego planu. Skorumpowana i politycznie rozbita Ukraina nie miała dość własnych sił, by skutecznie zareagować, Zachód zaś generalnie ograniczył się do protestów dyplomatycznych i raczej symbolicznych sankcji.

Wśród części politycznych i wojskowo-wywiadowczych elit po obu stronach Atlantyku co prawda stopniowo wzrastała świadomość, że współczesna Rosja jest de facto państwem zbójckim, świadomie dążącym do konfrontacji z Zachodem i szkodziącym jego fundamentalnym interesom. Efektem tej refleksji było choćby wspieranie przyspieszonej modernizacji ukraińskich sił zbrojnych, a także takie gesty jak wycofanie się przez Francję (pod presją międzynarodowej opinii publicznej i bardzo niechętnie) ze sprzedaży Rosjanom okrętów desantowych klasy Mistral. Jednocześnie jednak wielkie firmy z Europy i USA nadal inwestowały w rosyjski sektor wydobywczy i przetwórczy, zasilając go kapitałem i technologiami, politycy radośnie fotografowali się z Putinem, zblatowani ze służbami specjalnymi i mafią rosyjscy oligarchowie zmieniali Londyn w Londongrad, rozpychając się też na kluczowych rynkach wielu innych państw zachodnich, rosyjscy naukowcy, sportowcy i artyści (nawet ci na podwójnych etatach) uczestniczyli w międzynarodowej wymianie, jak gdyby nic złego się nie działo.

Zwalczanie rosyjskich wpływów było zaś tematem niewygodnym, a nawet swoistym tabu.

Co najważniejsze, ekonomiczna (a w konsekwencji także polityczna) przyszłość Starego Kontynentu była w coraz większym stopniu uzależniana od rosyjskich surowców energetycznych. Stał za tym chytry (pozornie) plan kanclerz Angeli Merkel i niemieckiego kompleksu przemysłowego: wymusić u siebie i w innych krajach europejskich rezygnację z alternatywnych źródeł energii, w tym atomu, a jednocześnie stać się hubem dla rosyjskiego gazu sprowadzanego dzięki rurom Nord Streamu w sposób maksymalnie odporny na ewentualne zakłócenia. I po cichu zgodzić się na ewentualność zakręcenia kurka na starych gazociągach, dostępnych też dla Ukraińców czy Polaków, gdyby rosyjscy partnerzy Berlina odczuli taką potrzebę. Czy to był ze strony niemieckiej skrajny cynizm, wielka naiwność, czy po prostu uleganie rosyjskiej grze informacyjnej, wzmacnianej przez starannie uplasowaną agenturę? Można wskazać więcej niż jedną odpowiedź.

Swoją drogą, po latach przydałoby się niemieckim elitom śmielsze uderzenie we własną pierś za tamte błędy i wypaczenia. Dzisiejsze deklaracje chęci budowy europejskiej samodzielności strategicznej dla ochrony naszych interesów przed rosyjskimi zakusami stałyby się bardziej wiarygodne. To samo dotyczy zresztą tych wszystkich polityków, ekspertów i ludzi mediów poza Niemcami, którzy uparcie utrzymywali, że Nord Stream jest projektem czysto biznesowym. Albo którzy czynem lub zaniechaniem blokowali rozwój energetyki jądrowej czy infrastruktury dla alternatywnych dostaw gazu z kierunków innych niż rosyjski w różnych państwach europejskich, w tym w Polsce. Którzy, głusi na przestrogi, lekceważyli rosyjskie akcje dywersyjne w rodzaju sztucznego stymulowania kryzysów migracyjnych czy rozbudowy agentury wpływu albo nawet je wspierali, gdy było im to na rękę z uwagi na bieżące interesy partyjne.

Zbrodnia jako reguła

Gdyby Putin był bardziej racjonalny i cierpliwy, zapewne ostatecznie wygrałby tę partię. Przecenił jednak własne siły (wojskowe, wywiadowcze, a także ekonomiczne), nie doszacował sił i determinacji przeciwnika (zarówno samej Ukrainy, jak i Zachodu) i postanowił przyspieszyć bieg wydarzeń. Rozpoczął więc pełnoskalową agresję, która miała trwać trzy dni.

Cztery lata później można skonstatować, że udało mu się właściwie tylko jedno: rzeczywiście pomógł obalić stare reguły, czyli zdezuować żmudnie cyzelowany od zakończenia II wojny



FOT. ARTEM GVOZDKOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE VIA GETTY IMAGES

Rodziny wzywają Rosję do zwolnienia ukraińskich żołnierzy z niewoli. Kijów, 15 lutego 2026 r.

światowej międzynarodowy porządek oparty na prymacie prawa nad nagą siłą i przynajmniej werbalnie stawiający na szukanie wspólnych korzyści, na myślenie w kategoriach kompromisu, a nie konfliktu.

Oczywiście, w praktyce nigdy nie było idealnie, ale przynajmniej starano się zachowywać pozory, a więc nie przekraczać symbolicznych granic. Jeśli naruszano zbrojnie suwerenność państwową – np. Libii, Iraku czy Afganistanu – to tylko w sytuacjach, gdy rządy tych państw wcześniej jako pierwsze brutalnie złamały prawo międzynarodowe i wyraźnie zagroziły stabilności i bezpieczeństwu innych podmiotów. Sama Rosja, interweniując zbrojnie w Gruzji w roku 2008, też zresztą zadbała o te pozory, prowokując rząd w Tbilisi do akcji wojskowej w separatystycznej Osetii. Ponadto, jeśli armie i służby państwowe dopuszczały się przy okazji nadużyć wobec jeńców, a tym bardziej ludności cywilnej, to były one oficjalnie potępiane, zaś winni pociągani do odpowiedzialności (przynajmniej w przypadku państw cywilizowanego Zachodu). Tym razem mieliśmy zaś do czynienia z agresją po pierwsze całkowicie niesprobowaną (bo twierdzenia, że wykonująca swe suwerenne prawa Ukraina zagrażała w ten sposób bezpieczeństwu Rosji, są jawnie absurdał lub kłamliwe), a po drugie obfitującą w przypadki zbrodni wojennych, których władze w Moskwie bynajmniej nie zamierzały ścigać. Przeciwnie, instytucjonalnie je pochwaliły i nagrodziły. Co więcej, na terenach okupowanych Rosjanie podjęli działania wyczerpujące definicję ludobójstwa zawartą w konwencji ONZ z 1948 r. Warto podkreślić, że nie czyni tego peryferyjne państwo ani zbrojna milicja czy grupa terrorystyczna, lecz rząd kraju będącego sygnatariuszem Karty Narodów Zjednoczonych i stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Ktoś powie: ależ wcześniej inni stali członkowie Rady Bezpieczeństwa – Francja, USA, o ludowych Chinach nawet nie wspominając – także dopuszczali się rzeczy karygodnych. To prawda, ale żadne z tych państw nie odważyło się uznać takich działań za normę oraz powód do chwały. Można się w tym dopatrywać hipokryzji, niemniej zbrodnia jako wstydlivy wyjątek od reguły jest czym innym niż zbrodnia jako reguła. Zarówno z punktu widzenia etyki, jak i jakości systemu bezpieczeństwa międzynarodowego.

Parada naśladowców

W furtkę otwartą na oścież przez Rosjan już wkroczył rząd Binjamina Netanjahu. Co prawda nie ma tu znaku równości, który chętnie postawiłyby antyizraelskie środowiska na Zachodzie. Po pierwsze, akcja zbrojna Jerozolimy (inaczej niż Moskwy) jest jednak odpowiedzią na konkretne poczynania zaczepne wroga w postaci zbrodniczych ataków Hamasu z 7 października 2023 r. Po drugie, część krytykowanych działań mi-

litarnych Izraela wynika w sposób oczywisty ze specyfiki pola walki (terenowo mocno zurbanizowane, wyjątkowo i często celowe przemieszanie przez stronę przeciwną nieumundurowanych bojowników z ludnością cywilną). Rosja swoich przestępstw dopuszcza się tymczasem w zupełnie innych okolicznościach. Można jednak podejrzewać, że faktyczna strategia Izraela zmierza do rozwiązania kwestii palestyńskiej poprzez eksterminację ludności arabskiej i że przynajmniej niektóre działania armii i sił policyjnych tego kraju celowo wykraczają poza taktyczną konieczność. Tym bardziej można zakładać, że przykład rosyjskiej brutalności wobec Ukraińców i lekceważenia przez Moskwę opinii „pięknoduchowskiej” części Zachodu wpłynął zachęcająco na metody i stopień determinacji ekipy Netanjahu.

Rozwój wydarzeń czujnie obserwuje ktoś znacznie potężniejszy i groźniejszy: kierownictwo chińskiej partii komunistycznej. Xi Jinping ewidentnie dał Putinowi zielone światło do agresji w Ukrainie, a z czasem przyjął rolę jej głównego sponsora, nie tylko ekonomicznego. Minister spraw zagranicznych Wang Yi jakiś czas temu przyznał publicznie, że przegrana Rosji nie jest w interesie ChRL. Przyczyny są różne, ale wśród nich bez wątpienia jest i ta, że oto Putin – w imieniu i w interesie siedzących na bezpiecznej skale Chińczyków – wykonuje czarną robotę, psując obyczaj i przyzwyczajając świat do wojny napastniczej i zbrodni wojennej jako „normalnego” narzędzia polityki. Niczym w dawnych wiekach, zanim rozpowszechniona świadomość dysfunkcyjności takiego podejścia skłoniła mądre rządy do zmiany dominującego obyczaju, rozwoju systemu prawa międzynarodowego, w tym prawa wojny, poszukiwania instrumentów arbitrażu i wspólnego egzekwowania cywilizowanych zasad. Tego wszystkiego, co dziś jest burzone – z Rosją w roli tarana. Także po to, by kiedyś Chiny mogły już całkiem bezkarnie, bez narażania się na ostracyzm ze strony ważnych partnerów sięgnąć przemocą po Tajwan, zdyscyplinować zbrojnie Wietnam, Filipiny, a nawet znacznie odleglejsze państwa, względnie zabezpieczyć militarnie swe roszczenia związane z eksploatacją Antarktyki lub Kosmosu.

Złe się stało, że analogiczny trend zaznaczył się także w Stanach Zjednoczonych. Częściowo wskutek czynników endemicznych, ale częściowo pod wpływem działań rosyjskich. Otwarte porzucenie gry o sumie zerowej, prymat własnych korzyści (także korporacyjnych oraz indywidualnych) nad prawem, dobrym obyczajem i interesami szerszej pojętego systemu międzynarodowego – to wszystko sygnalizowała już pierwsza administracja Donalda Trumpa. Jeszcze nieśmiało i na małą skalę. Teraz mamy do czynienia z eksplozją, a psychologiczną i polityczną zachętą była – jak można zakładać – widoczna u prezydenta USA i części jego ludzi fascynacja Putinem, jego ostentacyjną amoralnością połączoną z cynicznym kreowaniem się na wzór cnót, z jego zbójczą odważą, by siłą brać to, co uważa za swo-

je, nawet gdy nie ma do tego żadnego tytułu.

Wpływ rosyjskich wzorców widać w Białym Domu i okolicach także na innych poziomach, choćby w lekceważeniu faktów i dowolnym naginaniu ich do aktualnej narracji, a także w podporządkowywaniu długofalowych interesów własnego państwa prywatnym zyskom. Tak, wschodni i zachodni kleptokraci są sobie psychicznie i moralnie bliżsi, niż mogło się komuś wydawać. Różnice w zachowaniach i retoryce, o ile występują, wynikają jedynie z wewnętrznych uwarunkowań. Zła wiadomość jest taka, że we współczesnym świecie, który fundują nam wspólnie Trump, Putin i Xi, owe uwarunkowania będą się pewnie stopniowo do siebie upodabniać.

Zachód odrabia lekcje

Jest też kilka lepszych wiadomości. NATO, które miało zostać odepchnięte od rosyjskich granic i skompromitowane, przyjęło do swego grona Finów i Szwedów, co fundamentalnie zmieniło na naszą korzyść sytuację na wschodniej flance paktu. Przy tym zachowuje on wciąż użyteczność jako platforma współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, bo na tle politycznych fajerwerków niemal bez zakłóceń funkcjonują np. systemy szkolenia czy kooperacji w zakresie zwalczania zagrożeń asymetrycznych. I tego warto się trzymać, pamiętając, że administracja Trumpa kiedyś będzie musiała ustąpić.

Nie tylko amerykańscy demokraci, lecz także – przede wszystkim! – co racjonalniejsi i bardziej profesjonalni republikanie zdają już sobie sprawę, że nadmierna szarża przeciwko sojusznikom po prostu się Stanom Zjednoczonym nie opłaca. Stąd złagodzenie retoryki, które zaprezentował Marco Rubio podczas monachijskiej konferencji bezpieczeństwa. Pora teraz pracować nad tym, żeby za słowami poszły czyny, czyli rozsądniejsze stanowisko negocjacyjne Waszyngtonu wobec Rosji i Ukrainy, a także utrwalenie pozytywnych trendów w polityce europejskiej.

Nie chodzi tylko o większe wydatki na zbrojenia, które de facto wymusił Putin do spółki z Trumpem, lecz także o to, by te większe kwoty wydawać dużo mądrzej niż do tej pory. Żeby para nie szła w gwizdek i zdolności defiladowe, żeby nie kupować u Amerykanów tego, co akurat zapragną nam drogo sprzedać, albo – alternatywnie – nie podporządkować strategii bezpieczeństwa doraźnym interesom przemysłu Niemiec i Francji, czyli pod pozorem wspólnych interesów rzucić koło ratunkowe coraz bardziej dyshawicznym gospodarkom głównych państw unijnych. To bowiem prosty przepis na bunt społeczeństw państw peryferyjnych i ich podatność na populistyczne pseudorecepty (w tym te pisane w oryginale po chińsku i rosyjsku). Słowem, na klęskę.

Jeśli nie w skali całej Europy, to przynajmniej na wschodniej flance ta świadomość zaznacza się na szcze-

ście coraz wyraźniej. Często ktoś się wciąż zagalopuje w ferworze walki wewnętrznej, ale i tak dostrzegamy wspólny interes całego regionu i zagrożenia ze strony autorytarnego Wschodu znacznie lepiej niż przed 24 lutego 2022 r. Heroiczna walka Ukraińców uświadomiła nam też, że wolność wymaga czasem ofiary – także indywidualnej. I że w jej obronie warto czasem używać siły, a nie tylko kolorowych kredek i nakładek na zdjęcia profilowe. Ta zmiana psychologiczna też buduje nasze zdolności do działania i zwiększa bezpieczeństwo.

Na naszą korzyść działa także to, że ogrom rosyjskich zbrodni spowodował głębokie przeoranie ukraińskiej świadomości zbiorowej, w pewnym uproszczeniu – w kierunku prozachodnim i prodemokratycznym. Warto pamiętać o ryzyku odwrócenia tego trendu w niektórych scenariuszach, ale i tak zyskałszy w Ukrainie trwałe przyczółki oraz przyjaciół – na skalę bez porównania większą niż przed rokiem 2014. Pomimo utrzymujących się patologii elity polityczno-biznesowe znad Dniepru straciły bowiem złudzenia co do możliwości trwałego ułożenia sobie bezpiecznych relacji z Rosją. I bynajmniej nie z poczucia patriotyzmu ani przyzwoitości, ale ze względów bardzo pragmatycznych są dziś zainteresowane zdecydowanym kursem na Zachód.

Co z tą Rosją?

Niejednoznaczny – z naszego punktu widzenia – skutkiem tej wojny jest natomiast sytuacja samej Rosji. Z jednej strony państwo to zostało znacząco osłabione i wykrwawione zarówno przez bezpośrednie straty frontowe w ludziach i sprzęcie, jak i przez pośrednie efekty sankcji finansowych i technologicznych. Jego zdolność do podjęcia kolejnej takiej agresji w przewidywalnym czasie jest wobec tego bliska zeru. Również szybka odbudowa potencjału wydaje się mało realna w obliczu zapewne trwałej utraty najbardziej intratnych (czyli europejskich) rynków energetycznych. Jednocześnie jednak Rosja udoskonaliła swoje instrumentarium oddziaływań asymetrycznych, w tym walki informacyjnej i wpływania na procesy demokratyczne w wielu państwach Zachodu.

Stała się też znacznie bardziej zależna od Chin, co czyni bardziej prawdopodobnymi scenariusze jej wykorzystania przez Pekin jako użytecznego dywersanta przeciwko państwom europejskim, gdyby zaszła taka potrzeba.

Notabene zapewne analogiczną rolę przewiduje dla przyszłej Rosji Donald Trump, i to m.in. dlatego tak mu zależy, by nie upokarzać nadmiernie Putina i wciąż oferować mu opcję wypłatania się z twarzą ze sprowokowanej przezeń wojny. Tyłko że Chińczycy mają w tej grze dużo lepsze karty i są o wiele bliżsi pełnej kontroli nad Kremlem niż grupa nowojorskich deweloperów nieruchomości i finansistów, kaprysem losu rzuconych w świat wielkiej polityki. ©

Teheran jak Sarajewo

Mehmet

Berk Aluç

Michał

Kuź

Wydaje się, że punktem zapalnym w globalnym starciu USA z Chinami będzie Tajwan. Jednak może się okazać, że o wiele wcześniej Sarajewem XXI w. stanie się Iran. Choć Ameryka właśnie rozmawia z reżimem ajatollahów, to istnieją powody, by sądzić, że Waszyngton chce, by władza duchownych upadła – i to szybko. Zaś Pekin pragnie ją podtrzymać.

Pod koniec grudnia ubiegłego roku w irańskich miastach wybuchły bardzo krwawo stłumione protesty, których powodem były rosnące koszty życia. To, co początkowo wyglądało na niezadowolenie na tle społeczno-ekonomicznym, szybko przekształciło się w demonstrację na tle politycznym – manifestanci kierowali gniew przeciwko ajatollahom oraz Korpusowi Strażników Rewolucji.

Mimo istnienia wielu grup opozycyjnych dało się zauważyć, że tym, wokół czego najchętniej gromadzili się demonstranci, były monarchistyczne symbole i liberalna retoryka. Powstaje pytanie: czy ta symboliczna jedność przekłada się na rzeczywistą zdolność do zmiany reżimu, czy też jest chwilową reakcją na presję ekonomiczną?

Twór obcych mediów społecznościowych

Jak to się stało, że żyjący na emigracji w USA niezbyt zręczny politycznie Cyrus Reza Pahlawi, najstarszy syn ostatniego szacha Mohammada Rezy Pahlawiego, pozostaje główną postacią opozycji zagrażającą rządowi? Przecież spuścizna Ameryki w Iranie jest, mówiąc ogólnie, problematyczna – od wyzyskiwania miejscowego przemysłu naftowego przez wsparcie Iraku podczas wojny z Iranem w latach 80. XX w., w tym przyzwoleń na użycie przez Bagdad broni chemicznej, po kolejne rundy sankcji po 2006 r., które utrwaliły postrzeganie Waszyngtonu jako wrogiej potęgi stosującej przymus zamiast dialogu.

Według dziennikarki Al-Dżaziry Sarah Shamim za wzrost popularności Pahlawiego odpowiada zorganizowana akcja w internecie przeprowadzona poza granicami Iranu. To działanie, jak donosi z kolei izraelski dziennik „Haaretz”, było wspierane przez proizraelskie sieci medialne. Sukces akcji w społecznościówkach był połowiczny – Pahlawiego udało się wykreować na symbol wyidealizowanej przeszłości, jednak nie zdołano przedstawić go jako lidera opozycji mogącego porwać tłumy. Dodatkowo stanowiska Rezy Pahlawiego II (takie królewskie imię przyjął) dotyczące zakończenia programu nuklearnego Iranu oraz uznania Izraela sprawiają, że jest on postrzegany w kraju jako figura odezwana od irańskich realiów i zbyt bliska interesom zachodnich mocarstw.

Chiny: pragmatyczny sojusznik

Iran zajmuje kluczową pozycję w chińskiej Inicjatywie Pasa i Szlaku, zwanej nowym Szlakiem Jedwabnym, a cieśnina Ormuz pozostaje jednym z najbardziej strategicznie istotnych wąskich gardeł energetycznych świata. Przy dziennym przepływie przez nią 17–20 mln baryłek ropy (prawie 20 proc. globalnej podaży), ok. 85 proc. surowca jest przeznaczone na rynki azjatyckie. Utrata przez Teheran kontroli nad cieśniną znacząco zwiększyłaby wpływ USA na bezpieczeństwo energetyczne Chin. To nie tylko abstrakcyjna groźba – dla Pekinu dostęp do taniej irańskiej ropy stanowi bardzo ważny element dywersyfikacji źródeł energii, zmniejsza bowiem zależność od innych dostawców, takich jak Rosja czy pozostająca w sojuszu z USA Arabia Saudyjska.

Analitycy think tanku Brookings Institution wskazują, że dla Chin relacja z Teheranem jest ważna z trzech powodów: irański eksport ropy i gazu wspiera bezpieczeństwo energetyczne Pekinu;

wrogie stosunki Iranu z USA odwracają amerykańską uwagę i angażują zasoby, które w przeciwnym razie mogłyby zostać skierowane na zwalczanie wpływów Chin na świecie. Tak więc pośrednio dzięki Iranowi Państwo Środka może zwiększać swoje wpływy w Azji Południowo-Zachodniej.

W 2021 r., podczas wizyty szefa chińskiej dyplomacji w Iranie, oba kraje podpisały 25-letnią umowę o współpracy, w ramach której Pekin ma zainwestować 400 mld dol. w zamian za dostęp do ropy. Warto dodać, że struktura tej dwustronnej wymiany handlowej pozostaje niezwykle asymetryczna – Teheran eksportuje ponad 80 proc. ropy do Chin, podczas gdy chiński import irańskiej ropy stanowi zaledwie 13,4 proc. całkowitego importu ropy drogą morską tego kraju.

Można więc śmiało założyć, że Pekin będzie priorytetowo traktować stabilność reżimu i otwarcie wspierać irański rząd, zamiast tolerować polityczną transformację. I rzeczywiście, 5 lutego przedstawiciel chińskiego MSZ potwierdził wsparcie dla „uzasadnionego prawa Iranu do pokojowego wykorzystania energii jądrowej”.

Nowe Sarajewo czy nowa zimna wojna?

W czerwcu 2025 r., po tym jak USA uderzyły w irańskie obiekty nuklearne, reakcja Pekinu była w dużej mierze retoryczna. Chiński ambasador przy ONZ potępił atak, zaś rzecznik MSZ powtórzył, że Pekin jest gotowy wspierać działania pokojowe między Iranem a „innymi zainteresowanymi stronami”. Nie oznacza to, że Państwo Środka pozostanie bierne w dłuższej perspektywie. Już w styczniu rosyjskie, chińskie oraz irańskie okręty wzięły udział we wspólnych manewrach w ramach BRICS Plus. Dodatkowo chińska marynarka jest obecna w Zatoce Omańskiej,

Rafineria
w irańskim Isfahanie



FOT. FATEMEH BAHRAMI/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

która poprzez cieśninę Ormuz łączy się z Zatoką Perską.

Możliwe są więc zasadniczo trzy scenariusze rozwoju sytuacji. Pierwszy – wzrost wsparcia przez Pekin dla ajatollahów poprzez dostawy zaawansowanych technologii wojskowych, m.in. systemów przeciwlotniczych HQ-9B, manewrujących pocisków przeciwokrętowych oraz komponentów do systemów balistycznych. Pekin mógłby również zwiększyć inwestycje w irańską infrastrukturę energetyczną i transportową, szczególnie w projekty kolejowe łączące Iran z Azją Centralną, jak niedawno uruchomiony szlak Kom-Yiwu.

Drugi scenariusz zakłada ograniczenie relacji do minimum handlowego – w razie zbyt wysokiego ryzyka. Gdyby Pekin uznał, że bliskie więzi z Iranem zagrażają relacjom z państwami Zatoki Perskiej czy Izraelem, mógłby ostrożnie dystansować się do Teheranu, nadal jednak kupując tanią ropę i przetwarzając ją w rafineriach typu teapot w prowincji Szantung (małe, prywatne rafinerie, które nie są wpisywane na listę sankcyjną USA; jest ich ok. 150).

Najprawdopodobniejszy jest trzeci scenariusz – pragmatyczne balansowanie przez Pekin, czyli zabezpieczanie swoich interesów energetycznych przy jednoczesnym unikaniu bezpośredniej konfrontacji z Waszyngtonem. Chiny mają znaczne rezerwy ropy i mogłyby w razie potrzeby zastąpić irańskie dostawy surowcem z Rosji, Arabii Saudyjskiej, Iraku, Brazylii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich czy Omanu. Utrata dostępu do taniej irańskiej ropy byłaby z pewnością kosztowna, ale nie byłaby dla Chin egzystencjalnym zagrożeniem.

Dla liderów KPCh większym zmartwieniem niż ostatnie wydarzenia w Iranie mogą być ich efekty wtórne we-

Kukielka, która zerwała się ze sznurka



Czytaj też

Impas, w którym znalazł się Iran po ostatnich krwawych antyrządowych zamieszkach, wynika nie tylko z deficytu liderów opozycji. Również reżimowi boleśnie doskwiera brak przywódców, którzy mieliby jakikolwiek autorytet. Gdy któregoś dnia ajatollah Ali Chamenei – Najwyższy Przywódca Iranu, w skrócie Rahbar – umrze, niewielu w to uwierzy. Ale też, widząc, jak opozycja wykrzykuje pod jego adresem „Śmierć dyktatorowi!” i niszczy jego wizerunki, zapewne równie niewielu się tym przejmie. Bo Chamenei nie był i nie jest nikim więcej jak administratorem przygasającej rewolucji islamskiej. Wszyscy muszą go słuchać, ale nikt za nim nie idzie. Może czegoś zakazać dworzanom, a jednocześnie nad wieloma z nich nie sprawuje kontroli. I nie ma na siebie żadnego pomysłu poza przetrwaniem jeszcze jednego dnia. Człowiek bez historii do opowiedzenia i przyszłości do zaproponowania.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Iran: kraina bez przywódców”,
DGP Magazyn na Weekend nr 15
z 23 stycznia 2026 r.

wnątrz samych Chin. Historia arabskiej wiosny stanowi dla Pekinu przestrożę – gdy w 2011 r. fala protestów przetoczyła się przez świat arabski, obalając autorytarne reżimy w Tunezji, Egipcie, Syrii oraz Libii, chińskie władze odpowiedziały zaostrzeniem wewnętrznej cenzury i zwiększeniem nadzoru nad internetem. Państwo Środka obawiało się efektu domina, który mógłby zainspirować chińskich obywateli do podobnych działań.

Podobnie ewentualny sukces powstania w Iranie mógłby obnażyć ograniczenia represji jako metody tłumienia żądań reform politycznych, szczególnie w kontekście rosnących napięć społecznych w samych Chinach – od protestów w Hongkongu przez niezadowolenie w zamieszkałej przez muzułmanów prowincji Sinciang po sporadyczne demonstracje przeciwko restrykcjom covidowym, które przetoczyły się przez chińskie miasta w 2022 r.

Partia Komunistyczna postrzega każdy przypadek masowego protestu jako potencjalny wzorzec, który mógłby być naśladowany przez chińskie społeczeństwo. Dlatego tamtejszy aparat propagandowy już wzmacnia narracje, które przedstawiają irańskie protesty jako rezultat amerykańskiej wojny poznawczej i zagranicznej ingerencji, starając się zdyskredytować legitymację ruchów oddolnych.

Jeśli obecna struktura władzy w Iranie upadnie, Pekin będzie działać, by chronić swoich ludzi, firmy i inwestycje. Będzie też dążył do zabezpieczenia nieprzerwanego przepływu ropy, zachęcać do szybkich wysiłków na rzecz wzmocnienia krajowej stabilności i ograniczenia zewnętrznych skutków ubocznych oraz będzie próbował utrzymać wpływ na rząd następców, aby zapobiec ponownemu zbliżeniu ze Stanami Zjednoczonymi.

Chiny mają także istotny interes w tym, by nie dopuścić do sytuacji, w której Iran stałby się punktem zapalnym w stosunkach z Waszyngtonem. Stabilne relacje z USA pozostają dla Pekinu sprawą priorytetową – tym bardziej że lider ChRL Xi Jinping zamierza wykorzystać kwietniową wizytę prezydenta Donalda Trumpa w Państwie Środka do uzyskania ekonomicznego i strategicznego odprężenia w dwustronnych warunkach.

Cień nad światem

Historia pokazała, że gdy wielkie mocarstwa ścierają się o wpływy, to jedna iskra może wywołać wielki pożar. W 1914 r. zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie uruchomiło łańcuchy sojuszy i zobowiązań, co w ciągu kilku tygodni doprowadziło do wybuchu I wojny światowej. W 2026 r. miejscem wybuchu globalnego pożaru może stać się Iran, gdzie spotykają się interesy Waszyngtonu i Pekinu. Podobnie jak przed ponad stu laty wszyscy koncentrują wzrok na innym miejscu, nie dostrzegając prawdziwego zagrożenia. Tymczasem kontrola nad cieśniną Ormuz, przez którą przepływa jedna piąta światowej ropy, losy irańskiego programu nuklearnego i przyszłość autorytarnych reżimów w erze mediów społecznościowych – wszystko to składa się na mieszkankę wybuchową.

Różnica jest taka, że w 1914 r. żadna ze stron nie posiadała broni nuklearnej. Dziś zarówno USA, jak i Chiny są mocarstwami atomowymi, a Teheran może wkrótce do nich dołączyć. To czyni z Iranu nie tylko potencjalny punkt zapalny, lecz także być może najniebezpieczniejsze miejsce na planecie – tam, gdzie stare imperialne ambicje spotykają się z nowoczesnymi technologiami wojskowymi, a interesy dwóch największych gospodarek świata kolidują z aspiracjami regionalnego mocarstwa.

©©



Mehmet

Berk Aluç

studiuje na kierunku psychologia w zarządzaniu kapitałem ludzkim na Uniwersytecie VIZJA

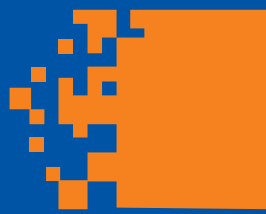


Michał

Kuź

politolog, ekspert ds. stosunków międzynarodowych, Klub Jagielloński, Uczelnia Łazarskiego

AUTOPROMOCJA



CYFROWA GOSPODARKA

DEBATY | ROZMOWY | ANALIZY

Ruszamy już
9 marca o godz. 14:00

Więcej informacji



Śledź projekt i bądź na bieżąco
z cyfrową transformacją
cyfrowa-gospodarka.gazetaprawna.pl/

Trump na wojnie z historią

MAGA nie chce widzieć pęknięć w przeszłości USA: niewolnictwa, wyparcia rdzennych ludów czy wyzysku imigrantów. Administracja wzięła się na potęgę do cenzurowania instytucji kultury

Emilia

Świętochowska

Historyczne centrum Filadelfii, w którym przed 250 laty ojcowie założyciele przyjęli Deklarację niepodległości, stało się niedawno areną sporu o to, do kogo należy amerykańska przeszłość. Pod koniec stycznia pracownicy National Park Service, federalnej agencji nadzorującej parki narodowe i państwowe muzea, zdemontowali plenerową wystawę poświęconą roli niewolnictwa w początkach Stanów Zjednoczonych. Gdy administracja Donalda Trumpa tłumaczyła się, że przekaz ekspozycji był kłamliwy i sprzeczny z narodowymi wartościami, oburzeni mieszkańcy oskarżyli ją o próbę narzucenia im wybielonej wersji dziejów. Michael Coard, adwokat i aktywista stojący na czele Avenging The Ancestors Coalition, organizacji walczącej o upamiętnienie krzywd afroamerykańskich przodków, nazwał akcję „skandaliczną i jawnie rasistowską”. Władze Filadelfii natychmiast skierowały do sądu federalnego pozew, w którym przekonywały, że ingerowanie w ekspozycję bez zgody miasta było nielegalne. W poniedziałek sędzia Cynthia Rufe przyznała im rację i poleciła National Park Service ponownie zainstalować 34 tablice. W swojej decyzji skrytykowała rząd za próbę zastąpienia „obiektywnych faktów wypaczoną narracją”, podkreślając, że takie manipulowanie zbiorową pamięcią przywodzi jej na myśl „Rok 1984” George’a Orwella. „Usunięte elementy wystawy nie były zwykłą dekoracją, którą można dowolnie zdjąć i przywrócić; były formą upamiętnienia pochodzących z Afryki mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy żyli, pracowali i umierali w Stanach Zjednoczonych jako osoby zniewolone” – napisała w orzeczeniu sędzia. I dodała: administracja „nie może arbitralnie rozstrzygać o tym, co jest prawdą, w oparciu na własnym widzimisię lub kaprysy swojego zwierzchnika”. Biały Dom zapowiedział już odwołanie.

Pochód ku wielkości

Ekspozycja, która zbulwersowała Trumpa tak bardzo, że nasał na nią ekipę z łomami, znajdowała się na tere-

nie dawnej Rezydencji Prezydenta (President’s House), siedziby pierwszego przywódcy kraju George’a Waszyngtona. Dziś można zobaczyć już tylko zarys jej fundamentów – po przeniesieniu stolicy do Waszyngtonu w 1800 r. budynek przeszedł w prywatne ręce, w których powoli popadał w ruinę, aż w końcu został wyburzony. W 2010 r., po wielu latach starań czarnych aktywistów, otworzono tam wystawę, która uwypuklała leżącą u podstaw amerykańskiego projektu sprzeczność między głoszonymi ideałami wolności i równości a czerpaniem korzyści z systemu niewolniczego. Zwiedzający mogli się z niej dowiedzieć m.in., że gdy ojcowie założyciele walczyli o utrwalenie zdobyczy wojny o niepodległość, prawie 700 tys. uprowadzonych z Afryki ludzi żyło w całkowitej zależności od woli swoich właścicieli. Byli bici, torturowani, gwałceni, głodzeni. Ekspozycja poświęciła szczególną uwagę dziewięciorgu niewolników służących w filadelfijskiej rezydencji George’a Waszyngtona (na jego plantacji w Wirginii pracowało kolejnych 300). Najbardziej znaną z nich była Oney Judge, która po kilkunastu latach troszczenia się o potrzeby pierwszej damy Marthy zbiegła na północ, gdzie spędziła resztę życia jako wolna kobieta. Decyzję o ucieczce podjęła wiosną 1796 r., gdy usłyszała od swojej pani, że ma zostać podarowana jej wnuczce Elizabeth jako prezent ślubny. Pewnego popołudnia, gdy domownicy zasiedli do obiadu, Oney wymknęła się z rezydencji i z pomocą zaprzyjaźnionych abolicjonistów została przemycona na statek płynący do Portsmouth w stanie New Hampshire. Prezydencka para nie zapomniała łatwo o swojej własności. Waszyngton zamieścił ogłoszenia w filadelfijskich gazetach, obiecując nagrodę pieniężną za schwytanie uciekinierki, a po ustaleniu jej miejsca pobytu zażądał od lokalnych władz, by wyekspediowały ją z powrotem. Miejscowi odmówili z obawy, że na wieść o uprowadzeniu kobiety rzecznicy abolicji mogliby wzniecić zamieszki.

Usunięcie wystawy w Filadelfii to jeden z licznych przykładów pokazujących, jak pod pretekstem promowania patriotycznych wartości i tępienia „ideologii woke” administracja Trumpa



Wystawa w waszyngtońskim
Muzeum Historii i Kultury
Afroamerykanów

forsuje oczyszczoną z niewygodnych faktów interpretację dziejów Stanów Zjednoczonych. Przeszłość w wydaniu MAGA to kronika aksamitnego pochodu ku potędze: heroicznych zmagających, nieprzerwanych zwycięstw, religijnej harmonii i zasypywania podziałów rasowych. Trump i jego akolici wychodzą z założenia, że pamięć zbiorowa ma eksponować bohaterów i momenty, które wzmacniają nacjonalistyczną mitologię Ameryki jako supermocarstwa ucieleśniającego siłę, sprawczość i boskie przeznaczenie. Nie ma tam zbyt dużo miejsca na błędy, konflikty i niesprawiedliwości przypominające o tym, że ideały wolności i równości, które nadawały kierunek zbiorowym aspiracjom, w praktyce często szły w parze z przemocą i wykluczeniem. Skomplikowane postacie zostają tu zredukowane do awatarów narodowej wielkości, a niewolnictwo i masakry rdzennej ludności są sprowadzane do epizodów ilustrujących postęp moralny, jakiego dokonały Stany Zjednoczone.

Szkalowanie Amerykanów

Kampania wymazywania doświadczeń mniejszości ruszyła w marcu 2025 r. wraz z wydaniem rozporządzenia wykonawczego pod znamienym tytułem „Przywracanie prawdy i zdrowego rozsądku w amerykańskiej historii”. Trump skarży się w nim, że instytucje kultury w USA promują wykrzywiony obraz przeszłości, w którym fakty wyparła „trująca ideologia”. „Ten rewizjonistyczny ruch stara się zdyskredytować niezwykle dokonania Stanów Zjednoczonych, odmalowując nasze idee założycielskie i kluczowe momenty dziejowe w negatywnym świetle” – przekonywał prezydent. Jego zdaniem pod dyktando lewicy amerykańskie zasługi w krzewieniu wolności i praw jednostki „przedstawiane są jako z natury rasistowskie, seksistowskie, opresyjne lub skażone inną nieodwracalną wadą”. Efektem jest „pogłębienie podziałów społecznych i podsycanie poczucia narodowego wstydu”.

Dokument upoważnił pracowników National Park Service do usunięcia z setek federalnych muzeów i miejsc pamięci „wszelkich opisów, obrazów lub innych materiałów, które nieuzasadnienie szkalują Amerykanów, zarówno tych nieżyjących, jak i współczesnych”. Nieprawomyślny przekaz miały zastąpić treści „koncentrujące się na wspaniałych osiągnięciach i rozwoju narodu amerykańskiego”.

„To rozporządzenie jest niczym innym jak wypowiedzeniem politycznej wojny historykom” – komentował na łamach „New York Timesa” prof. David Blight z Uniwersytetu Yale.

Kolejnym zadaniem było przywrócenie pomników obalonych na fali ma-

sowych demonstracji przeciwko nierównościom rasowym, które wybuchły w maju 2020 r. po zabójstwie George’a Floyda w Minneapolis. Z placów i parków zniknęły wtedy posągi Jeffersona Davisa, Roberta E. Lee i innych przywódców walczącej o utrzymanie niewolnictwa Konfederacji. Z cokołów zrzucano figury kojarzone z ekspansją kolonialną i zniewoleniem rdzennej ludności, takich jak Krzysztof Kolumb i Cecil Rhodes. Statki wojenne i bazy wojskowe noszące nazwiska generałów armii konfederackiej dostawały nowych patronów (np. Fort Bragg, upamiętniający uważanego za jednego z najokrutniejszych generałów wojny secesyjnej Braxtona Bragga, przemianowano na Fort Liberty).

To, co aktywiści Black Lives Matter nazywali rozliczeniami z uporczywą spuścizną rasizmu, kończący pierwszą kadencję Trump obwołał „skrajnie lewicowym faszyzmem”. „Oni są zdecydowani zniszczyć każdy pomnik, symbol i ślad naszego narodowego dziedzictwa” – mówił na obchodach Dnia Niepodległości, stojąc na tle wykutych w Mount Rushmore głów czterech prezydentów USA. Podsycanie wojny kulturowej miało dodać rozpędu jego staraniom o reelekcję.

Lewicowy faszyzm

Wydarzenia 2020 r. wywarły ogromny wpływ na politykę historyczną w tej kadencji. Krucjata przeciwko „woke historii” nie ogranicza się już do ostrzeżeń i pohukiwań. Na Plac Sądownictwa w Waszyngtonie, 2 km od Białego Domu, powróciła statua Alberta Pike’a, generała Konfederacji podejrzanego o przynależność do Ku Klux Klanu. Kiedy pięć lat temu aktywiści zrzucili i podpalili pomnik, prezydent potraktował to jako osobistą zniewagę. „Hańba dla naszego kraju!” – pisał na X.

Muzea zamieniły się w arenę turbo-patriotycznej ofensywy – wymierzonej szczególnie w narracje o zmaganiach czarnej społeczności. Na polecenie Białego Domu przed końcem lata urzędnicy sporządzili długą listę ekspozycji i opisów obiektów historycznych, które ich zdaniem „szkalują Amerykanów”. W samej Filadelfii zgłosili zastrzeżenia do kilkudziesięciu ekspozycji – obok Rezydencji Prezydenta na indeks trafiło m.in. Muzeum Benjamina Franklina za interaktywną prezentację, która wspominała o ewolucji ojca założyciela od właściciela niewolników do orędownika abolicji. Na szlaku upamiętniającym marsze ruchu praw obywatelskich z Selmy do Montgomery w 1965 r. wytypowano do usunięcia ok. 80 tablic. Na celowniku znalazła się też wystawa w Topece w stanie Kansas, gdzie przed ponad 70 laty rozegrała się słynna sprawa otwierająca drogę do desegregacji szkół. Przedstawicielom administracji nie spodobało się, że padało tam słowo „równość” (equity).

Cenzorskiego oka nie ominęły materiały dotyczące innych grup. W Parku Narodowym Wielkiego Kanionu zdemontowano tablicę informującą, że osadnicy „wyparli rdzenne plemiona z ich ziem” i „eksploatowali te tereny na potrzeby górnictwa i hodowli bydła”. Ze Stonewall National Monument, pomnika na Manhattanie poświęconego ruchowi LGBTQ, po cichu usu-

nięto tęńczową flagę. Z kolei personel uchodzący za ośrodek narodzin amerykańskiej rewolucji przemysłowej kompleksu historycznego w Lowell w Massachusetts musiał wycofać z ekspozycji dwa filmy o katorżniczych warunkach pracy robotników – w większości imigrantów – w tamtejszych zakładach włókienniczych. W miniony wtorek grupa stowarzyszeń historycznych, przyrodniczych i naukowych złożyła w sądzie federalnym w Bostonie pozew, w którym oskarża rząd o nielegalną ingerencję w funkcjonowanie instytucji kultury i parków narodowych.

W epicentrum krucjaty Trumpa znalazła się Smithsonian Institution, prestiżowa sieć 21 instytucji obejmująca m.in. Muzeum Historii Naturalnej i Muzeum Amerykańskiej Historii. W marcowym rozporządzeniu gospodarz Białego Domu ubolewał, że w ostatnich latach lansowała ona przesiąknięte „polaryzującą ideologią rasową” narracje, które ukazują wartości Ameryki i całego Zachodu jako szkodliwe i opresyjne. Na platformie Truth Social porzucił eufemizmy. „Mówi się tam tylko o tym, jak okropny jest nasz kraj i jakie straszne było niewolnictwo” – napisał.

Choć Smithsonian działa niezależnie, to w przeciwieństwie do prywatnych muzeów ponad 60 proc. jego budżetu stanowią fundusze federalne. O ile poprzednie administracje respektowały autonomię instytucji, o tyle obóz MAGA postanowił wykorzystać wszelkie dostępne środki nacisku, by skłonić je do prezentowania bardziej pozytywnego obrazu Stanów Zjednoczonych. Użytecznym narzędziem okazała się rada nadzorcza, w której obok republikanów i demokratycznych członków Kongresu zasiadają wiceprezydent i prezes Sądu Najwyższego. Pod presją Białego Domu zobowiązała ona szefa Smithsonian Lonniego Buncha do zlustrowania wszystkich zbiorów pod kątem „stronniczości”.

Czystki zaczęły się latem od wyrzucenia z wystawy o amerykańskiej prezydenturze plaketek ze wzmiankami o dwóch próbach impeachmentu Trumpa. Krótko potem Biały Dom opublikował autorski wykaz problematycznych ekspozycji i treści. Tak jak w innych przypadkach miał najwięcej pretensji o informacje dotyczące niewolnictwa i segregacji, choć nie brakło też skarg na inne tematy. W tęczowej fladze wywieszzonej w Muzeum Amerykańskiej Historii dopatrzone się propagowania homoseksualizmu, a w portrecie rodziny uchodzącej za przedstawiającą się przez mur na granicy z Meksykiem – promowania liberalnej polityki imigracyjnej. Najbardziej drażliwe materiały wycofano – np. tabliczkę z Muzeum Historii i Kultury Afroamerykanów, która stwierdzała, że indywiduizm, ciężka praca, rodzina nuklearna, wiara w postęp, uprzejmość czy odroczone gratyfikacja to wyróżniki „białej kultury” (konserwatyści burzyli się, że wartości te są przepisem na powodzenie w życiu niezależnie od rasy). Było to jednak za mało, by udobruchać prezydenta. W grudniu administracja postawiła Bunchowi ultimatum: jeśli nie spełni jej żądań, Smithsonian straci finansowanie. ▷

Łuk niepodległości

Dogodną okazją do promowania trumpistowskiej wizji dziejów stały się przypadające w tym roku obchody 250. rocznicy podpisania Deklaracji Niepodległości. Przez cały rok we wszystkich stanach planowane są imprezy, których punktem kulminacyjnym będzie zasilana dolarami big techu i branży krypto feta 4 lipca. Patriotyczna pompa i emocjonalny patos spłotą się tam z festynowym klimatem i estetyką nadmiaru charakteryzującymi widowiska MAGA. – To będzie przyjęcie urodzinowe, jakiego jeszcze nie widziano – obiecał prezydent. Fajerwerkom i jarmarkom z corn dogami mają towarzyszyć inicjatywy z trumpistowskim rozmachem. 14 czerwca, w dniu swoich 80. urodzin, przywódca USA zorganizuje na trawniku przed Białym Domem galę UFC (Ultimate Fighting Championship). Dziennikarzom zdradził, że jego ekipa zbuduje tam tymczasowy stadion na 100 tys. widzów. W sierpniu w zawodach nazwanych „America 250 Grand Prix” na ulicach Waszyngtonu zmierzą się bolidy wyścigowe IndyCar. W programie znalazły się też „Igrzyska Patriotyczne” (Patriot Games), młodzieżowe zawody z udziałem jednej dziewczyny i jednego chłopca z każdego stanu. Na platformie X demokraci drwili, że impreza nasuwa skojarzenia z „Igrzyskami śmierci”.

Za organizację i pozyskiwanie funduszy na wydarzenia osobiście firmowane przez Trumpa odpowiada powołana w grudniu grupa non-profit Freedom 250. Z dokumentów ujawnionych przez „New York Times” wynika, że działa ona jak kanał sprzedawania dostępu do władzy: ludzie i firmy, które dołożą się do obchodów 250-lecia, mogą otrzymać wejściówki do Białego Domu i starać się o jego przychylność. Wpłata 1 mln dol. gwarantuje zaproszenie na prywatne przyjęcie z prezydentem i szansę na wspólne zdjęcie. 2,5 mln dol. daje prawo wystąpienia podczas rocznicowej ceremonii w Waszyngtonie.

Najbardziej ekstrawaganckim – i najtrudniejszym do realizacji – pomyślałem Trumpa na 250-lecie Stanów Zjednoczonych jest konstrukcja ponad 76-metrowego łuku triumfalnego, który przyćmiłby rozmiarami Mauzoleum Lincolna (jego wysokość to 30 m), a także paryski Arc de Triomphe (50 m). Według źródła „Washington Post” prezydent ma już upatrzoną działkę nad Potomakiem w okolicy mostu Arlington Memorial. Skala projektu wywołuje zaniepokojenie wśród ekspertów architektonicznych. Krytyczni są nawet ci, którzy początkowo popierali ideę. Ich zdaniem tak ogromna budowla przytłoczyłaby pobliskie miejsca pamięci i zasłoniła widok pieszym. „Nie wydaje mi się, że to odpowiednie miejsce dla łuku takiej wielkości” – powiedział gazetce Catesby Leigh, którego koncepcja znacznie skromniejszego łuku zainspirowała prezydenta. Koszty inwestycji mają pokryć prywatne darowizny niewykorzystane na budowę sali balowej w Białym Domu. Wśród sponsorów są m.in. Amazon, Google i Lockheed Martin. ©

Śmierć ojca chrzestnego

Zabójstwo Alaina Orsoniego wstrząsnęło Korsyką. Francji zaś przypomniało, że temu zbuntowanemu zakątkowi kraju wciąż marzy się niepodległość



FOT. PASCAL POCHARD-CASABIANCA/AFP/EAST NEWS

Alain Orsoni został zabity 12 stycznia 2026 r. na pogrzebie swojej matki

Mariusz

Janik

Strzelec się nie spieszył; czekał w lesie, aż na pobliskim cmentarzu w Vero zbiorą się żałobnicy. Gdy pożegnalne kazanie dobiegło końca, wycelował w pierś Alaina Orsoniego, syna kobiety, którą składowano do ziemi. Dochodziło wpół do piątej po południu, był 12 stycznia 2026 r.

– Cmentarz jest na Korsyce święty. Nigdy nie byłem świadkiem, aby kogoś zamordowano, gdy chował matkę – mówił lokalnym mediom przyjaciel Orsoniego, Jo Peraldi. – Nie zabija się ludzi na cmentarzach. To nie do zaakceptowania – dorzucał jeden z kuzynów Orsoniego, Christian Leca, którego znaleźli reporterzy gazety „Le Monde”.

W tym samym dzienniku opisano atmosferę w Ajaccio, stolicy Korsyki. Ani słowa w prasie o wydarzeniu w Vero, wyjąwszy wzmiankę w wiadomościach – żadnych komentarzy. W kawiarniach za to szeptano o „przystojnym Alainie”, który „oszukał śmierć tysiąc razy”.

Pierwszy żywot

Alain Orsoni urodził się 71 lat temu w Vero, liczącej kilkuset mieszkańców wiosce, leżącej ok. 30 km od Ajaccio w głąb

wyspy, w typowej scenerii tamtejszego interioru: kilkadziesiąt skromnych domów z szarego granitu pokrytych rudą dachówką. Jedna droga, kilka strumyków spływających z gór. I ojciec Andre, który wrócił z frontu w Indochinach, gdzie Francja traciła właśnie kondominia, po to, by zaraz zaciągnąć się na wojnę w Algierii.

Tam szybko przystał do Organisation Armée Secrète (OAS) – tajnej formacji oficerów o skrajnie prawicowych poglądach, których głównym celem miał się wkrótce stać „doprowadzający Francję do ruiny” de Gaulle. Synowie Orsoniego – Alain i młodszy o cztery lata Guy – początkowo szli śladem ojca. Ale gdy Alain wyjechał na studia do Paryża, po krótkim epizodzie w organizacjach prawicowych na horyzoncie pojawiła się opcja: lewicowe struktury korsykańskich nacjonalistów.

Drugi żywot

Letnie wakacje w 1975 r. kończą się wstąpieniem Orsoniego do Azione Regionalista Corsa (ARC), która ledwie kilka miesięcy później stopi się wraz z sobie podobnymi w większą grupę – Korsykański Front Wyzwolenia Narodowego (FLNC).

Mała struktura, nawet takiej połączonej organizacji, sprzyja szybkim awansom, więc już w 1976 r. Orsoni uchodził za szefa paryskiej komórki FLNC. A korsykańscy separatyści właśnie się rozkręcają, w Paryżu wybuchają dziesiątki bomb, padają strzały.

W 1980 r. po niezbyt udanej akcji przed irańską ambasadą (za to budującą legendę, bo Orsoni ostrzelał budynek z karabinu maszynowego) lider komórki zalicza wpadkę i ląduje w więzieniu. Przesiedział prawie dwa lata – do momentu, gdy za kratami wybucha rebelia. Jednym z żądań skazanych było uwolnienie dwóch korsykańskich liderów, w tym Orsoniego.

Trzeci żywot

Pierwszy powrót na wyspę – i od razu triumf. Niedawny więzień stał się symbolem korsykańskiego separatyzmu i dowódcą jednej z najsilniejszych brygad FLNC, działającej w Ajaccio i okolicach.

Ale stał się też celem, za co prawdopodobnie zapłacił życiem jego brat. Guy został uprowadzony w połowie 1983 r. przez członków jednej z miejscowych mafii, gangu Valinco. Co się dokładnie wydarzyło, nie wiadomo – ciała Guya nie odnaleziono do dziś; ale porwanie doprowadziło do wojny między separatystami a półświatkiem. Niemal rok później komando FLNC wdarło się do więzienia i zastrzeliło dwóch członków gangu, którzy brali udział w uprowadzeniu Guya. „Terrorysti zostali ujęci, ale rząd (w Paryżu – red.), mający prawdopodobnie niezbyt czyste sumienie w tej sprawie i mało zmartwiony zniknięciem niewygodnych świadków, sprawił, że w 1989 r. uwolniono ich i sprawę ukrecono łeb” – pisze historyk Maciej Kuczyński w opracowaniu „Krwawiąca Europa. Konflikty zbrojne i punkty zapalne w latach 1990–2000”.

– Najbardziej w życiu żałuję, że nie wziąłem w tej akcji udziału – zwierzył się po latach Orsoni. Za to koordynował akcję, a na dodatek tego samego dnia ze szpitala wysłał jego ówczesna żona z ich pierworodnym. Dostał na chrzcie imię Guy, na cześć wujka.

Czwarty żywot

Korsykański separatyzm nabierał impetu, zaś Orsoni podryfował w stronę polityki. Od 1986 r. zasiadał w sejmiku wyspy, pod koniec lat 80. był już kimś w rodzaju Gerry’ego Adamsa – przywódcę IRA, który stał się jednym z architektów pokojowego rozwiązania konfliktu w Irlandii Północnej.

Jego naciski na zawarcie rozejmu (doszło do tego w 1988 r.), a potem na działalność polityczną doprowadziły do rozpadu FLNC na dwie frakcje: Nurt Zwyczajny z Orsonim na czele oraz Nurt Historyczny, który na żadne kompromisy iść nie chciał. Nacjonałisci porzucili walkę z Francuzami czy lokalnymi mafiosami i zaczęli walczyć między sobą. Trup sypnął się gęsto, a według legendy sam lider Nurtu Zwyczajnego nie ważył się w tych porachunkach pociągnąć za spust. Ale jego frakcja była w tych walkach wyraźnie słabsza, co skończyło się jej rozwiązaniem i ucieczką Orsoniego za Atlantyk.

Piąty żywot

W Miami były korsykański separatysta otwiera pizzerię. Ale już kilka miesięcy później jest w Nikaragui. Tu z kolei uruchamia kasyno – choć część relacji wskazuje raczej na salon z automatami do gry – i zbliża się do półświatka.

Cokolwiek się wówczas wydarzyło, nikaraguańskie władze uznały po czterech latach, że poszukiwanych przez Francję byłych terrorystów trzeba jej wydać: tylko Orsoni wymknął się obławie. Wkrótce później odnalazł się w Hiszpanii, przez kolejne osiem lat żył w Barcelonie. Z czego – niezbyt wiadomo.

Szósty żywot

Emigracyjny epizod kończy się w 2008 r., kiedy Orsoni wraca na wyspę. Z marszu zostaje prezesem najważniejszego lokalnego klubu piłkarskiego AC Ajaccio i uruchamia mało przejrzystą, ale rozległą sieć biznesów. Klub wchodzi do francuskiej pierwszej ligi, są pieniądze nawet na transfery. – Korsyka to przyjemne miejsce do grania – wyjaśnia lakonicznie Orsoni dopytującemu go wtedy o tajemnicę sukcesu reporterowi BBC.

W łóżach honorowych dawny terrorysta ścisła dłonie decydując o całej Francji, z ówczesnym prezydentem Nicolasem Sarkozym na czele. Ale na zapleczu obowiązują ściśle rygory bezpieczeństwa: biurem jest bunkier bez okien w kompleksie stadionu, na każdym kroku towarzyszy mu kilku ochroniarzy, chodzi w kamizelce kuloodpornej, porusza się opancerzonym autem.

Orsoni odprawia reporterowi BBC wspólnej przejażdżki po mieście. Nic dziwnego, bo gangsterzy próbowali go zabić tuż po powrocie w 2008 r., najpewniej ci z Gang de la Brise de Mer. Wyspiarze plotkowali, że Orsoni szybko zaczął się mścić, jeden z gangsterów miał od niego dostać osobliwy prezent – DVD z filmem „Aż poleje się krew” i odręczną notką, sprowadzającą się do komunikatu „zniszczyć ciebie i twoich ludzi”. Ale to cyngle z półświatka w kolejnych latach dopadali współpracowników „prezesa”: jego prawnik zginął podczas tankowania w 2012 r., prawdopodobnie z rąk członków gangu Petit Bar.

– Nie boję się śmierci. Nie budzę się każdego ranka, myśląc, że dziś zginę – przekonywał jednak Orsoni w rozmowie z „Le Figaro” w tamtym czasie. – Był portretowany jako ojciec chrzestny, ale przecież nawet nie mam na Korsyce choćby jednego biznesu. Oczywiście, jako były przywódca ruchu nacjonalistycznego przez całe 15 lat nie jestem święty. Ale opisywanie mnie jako niebezpiecznego gangusa? To jakiś żart – kwitował.

Siódmy żywot

Po 2015 r. Orsoni prowadzi bardzo dyskretnie życie. Bywa na wyspie, w latach 2022–2024 ponownie przymierza się do stołka szefa AC Ajaccio. Ale klub jest już cieniem niegdysiejszej świetności, tonie w długach, dostaje zakaz rozgrywek – więc nie zagrzewa tam długo miejsca.

Mówi się, że więcej czasu spędza znowu w Nikaragui (teraz rządzonej

przez reżim Daniela Ortegi, co nie jest bez znaczenia), a na wyspę zagląda tylko w wyjątkowych sytuacjach. Takich jak pogrzeb matki.

Wyspa

W analizach strategicznych Korsyka uchodzi za strategiczną, bo dzięki niej można kontrolować sporą część Morza Śródziemnego. Przez stulecia ścierali się o nią Etruskowie, Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie, Wandalowie, Bizantyjczycy, Arabowie, w końcu Genuieńczycy. Gdy w 1755 r. przeciw tym ostatnim wybuchło powstanie, Korsykanie wezwali na pomoc Francuzów, a ci – korzystając z nadarzającej się okazji – w 1768 r. przechwycili wyspę i szybko spacyfikowali obie strony konfliktu.

I pewnie szybko zaczęli pluć sobie w brodę. Ktokolwiek by rządził wyspą, zawsze był to odległy i zaniedbany skrawek tego czy innego imperium. Jan Baszkiewicz w monumentalnej „Historii Francji” co kilkadziesiąt stron, podsumowując rozwój kraju, dorzuca dopisek w stylu „a Korsyka pozostawała zacofana i biedna”. „Rekordy ubóstwa bije Korsyka ze swym archaicznym układem społeczno-obyczajowym, zacofaną gospodarką, dziesiątkowana przez malarię. Korsykanie zmuszeni są szukać masowo lepszej doli we Francji i w koloniach” – opisuje wyjątkowo wylewnie los regionu w drugiej połowie XIX w.

Zwolennicy autonomii pojawili się na Korsyce dopiero po I wojnie światowej. Było im blisko do Mussoliniego, ale gdy w czasie II wojny światowej wyspa znalazła się pod kontrolą Włoch, powszechnej kolaboracji nie było. We wrześniu 1943 r., gdy Italia ogłosiła kapitulację, Korsykanie wzniesili krótkie i zwycięskie powstanie przeciw niemieckim oddziałom, jakie wówczas stacjonowały jeszcze na ich terenie. Potem chętnie – niczym ojciec Orsoniego – zaciągali się do francuskiej armii.

„Korsyka była zawsze uboga i zacofana, ale dopiero pod koniec lat 60. kontrast między wyspą a kontynentem przybrał tak znaczne rozmiary” – zauważa Kuczyński. „Pierwsze oznaki kryzysu w 1973 r. pogorszyły nastroje. Szczególnie niezadowoleni byli rolnicy, których gospodarstwa były nierentowne, mimo hojnych subwencji, a także bezrobotna lub mało zarabiająca młodzież. Mimo iż przyczyny zacofania leżały w strukturze społecznej, celem niezadowolonych stało się państwo francuskie” – kwituje.

„Na Korsyce głoszą trzy generacje zmarłych i trzy pokolenia jeszcze nie narodzonych” – powiadali Francuzi z kontynentu, lapidarnie ujmując w tej frazie cuda nad urną, do jakich dochodziło na wyspie. Oszukiwano na podatkach, wyciągano zasiłki, wyłudzano kredyty. Tamtejsza struktura klanowa szybko przełożyła się – podobnie jak na sąsiedniej włoskiej Sardynii – na rodziny mafii przemytniczych, narkotykowych, zajmujących się haraczami. I pojawiający się na przełomie lat 60. i 70. pierwsi separatyści chętnie korzystali z tego samego arsenału środków i możliwości, a ich struktury nierazko przenikały się w nieczytelny sposób ze strukturami półświatka. A sytuacja

skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy separatyzm korsykański wyrósł na siłę, która zaczęła niepokoić Paryż: zniknięcie Guya Orsoniego jest interpretowane jako operacja francuskich speców przeprowadzona rękami korsykańskich gangsterów.

Kultura bezprawia

Ruch separatystyczny, mimo prób konsolidacji, zawsze był na Korsyce rozdrobniony. W apogeum można było mówić o co najmniej kilkunastu organizacjach, z których każda liczyła kilkanaście do kilkudziesięciu osób. Gdy w 1996 r. FLNC-Nurt Historyczny (który kontestował pokojowy kurs Orsoniego) zorganizował nocną konferencję, przybyłym dziennikarzom zaprezentowano w półmroku ok. 600-osobową grupę zamaskowanych postaci uzbrojonych w Kałasznikowy, M-16, Uzi, Skorpiony, granatniki przeciwpancerne. Tyle że te same media wkrótce później – z nutą kpiny – donosiły, że na potrzeby nocnej prezentacji ugrupowanie ściągnęło wszystkich swoich sympatyków, ich krewnych oraz ich żony i partnerki.

Co nie znaczy, że separatyści nie byli groźni; przede wszystkim seriami podkładali bomby, co nazywano „błękitnymi nocami” – o zamachach jednak ostrzegano. 31 maja 1979 r. Korsykanie zdetonowali w Paryżu jednocześnie 22 bomby (bez ofiar), 19 sierpnia 1982 r. wybuchło 99 bomb na Korsyce – a przez cały rok separatyści przeprowadzili ponad 800 zamachów. W tym samym czasie nawiązali kontrakty z ugrupowaniami palestyńskimi, a także z Libią Mu'ammara al-Kaddafiego, która chętnie zbroiła formacje separatystyczne z całego świata (być może nawiązano też kontakty z nikaraguańską partyzantką Ortegi, co mogłoby tłumaczyć późniejsze podróże Orsoniego). Arsenał więc puchł w szwach.

Bywało operetkowo, a i owszem. Zdarzało się, że mieszkańcy wydzwaniiali po znanych sobie separatystach, żeby ich pouczyć, że wysadzać komisariaty i urzędy można, ale tak, żeby szyby w budynkach obok nie leciały. Pewien separatysta miał bić strzelbą związanego przedsiębiorcę, który jakoby odmawiał płacenia haraczu, i owa strzelba wypaliła bijącemu w głowę, zabijając go na miejscu (sądowa dokumentacja zawiera historię o bójce). Żandarmi, którzy w ramach prowokacji chcieli podpalić restaurację, gdzie odmawiano separatystom płacenia haraczu, zrobili to tak nieumiejętnie, że jeden z nich wylądował w szpitalu, gdzie po kilku godzinach znaleźli go śledczy.

Ale ludzie ginęli zarówno na wyspie, jak i na kontynencie. Wśród ofiar byli prefekci, żandarmi, policjanci, cywile – podobnie jak i sami separatyści czy gangsterzy. Po przesłotu półwieczu kampanii Korsykę opłotała pajęczyna urazu, wendett, długów krwi. A co gorsza, kultura bezprawia zakorzeniła się tu na dobre: u progu tego stulecia statystyki przestępczości wskazywały, że na Korsyce wykrywa się sprawców tylko 7 proc. przestępstw. Na tysiąc mieszkańców przypada 350 sztuk broni, dwukrotnie więcej niż w kontynentalnej Francji. Odsetek zabójstw sięga 3,7 na 100 tys. mieszkańców, kolejny rekord kraju.

Ogon macha psem

Znak czasów: Guy Orsoni – syn Alaina, a nie zaginiony brat – nie brał udziału w pogrzebie babci. Odsiaduje wydany w 2018 r. wyrok 13 lat więzienia za nieudaną próbę zabójstwa członka konkurencyjnego gangu, a to już kolejny jego pobyt za kratami. Co prawda Alain przyznawał, że nie był w stanie poświęcić synowi wystarczająco wiele czasu, ale za to przed wyrokiem najmłodszy z Orsonich toczył wojnę z gangiem Petit Bar, który nieco wcześniej polował na jego ojca. Dwa lata temu dwóch podwładnych Guya zginęło w uderzająco podobny sposób: od pojedynczych kul wystrzelonych z dużej odległości.

Jak twierdzi „Le Monde”, wyspę podzieliło obecnie między siebie ok. 20 gangów. „Większość z nich penetruje wszystkie sfery życia – polityczne, społeczne, gospodarcze – i chce zdominować te legalne działania, które uznaje za najbardziej dochodowe” – kwitowali eksperci Sirasco, kryminalnego pionu francuskiej policji w jednej z analiz. Bandyci tworzą bastiony w deweloperce, gastronomii, hotelarstwie czy obrocie nieruchomości. Ale równowaga między poszczególnymi grupami jest krucha, co kilka lat dochodzi do spektakularnych egzekucji – jak w 2017 r., gdy dwóch zwolnionych z paryskiego więzienia hersztów już w budynku lotniska zostało ostrzelanych przez cyngla konkurencji.

Nie zniknęli też korsykańscy nacjonaliści: według rozmaitych szacunków zbierają od 15 do 25 proc. głosów w wyborach do lokalnego zgromadzenia. Paryż już u progu tego stulecia obdarował wyspiarzy specjalnym statusem administracyjnym, a w kolejnych latach autonomia była poszerzana. Ba, kilkakrotnie pojawiał się pomysł, żeby dać Korsykanom możliwość uzyskania niepodległości – i mieć problem z głowy, gdyby się na taki scenariusz zdecydowali – ale ostatecznie żadna administracja centralna się na to nie zdecydowała.

Zamiast tego krok po kroku wyspiarze wymykają się spod kontroli władz centralnych. Ostatnie lata przyniosły kolejne negocjacje między Ajaccio a Paryżem – impulsem do nich było zabójstwo w więzieniu w 2022 r. jednego z dawnych liderów separatystycznych Yvana Colonna. Po jego śmierci Korsykanie wyszli na ulice, domagając się poluzowania więzów z kontynentem i grożąc powrotem do zbrojnej walki. W zamieszkach rannych zostało 77 policjantów, a prezydent Emmanuel Macron zdecydował się na rozmowy znane jako Beauvau Process.

W ich ramach w marcu 2024 r. uzgodniono kolejny pakiet autonomicznych swobód dla wyspiarzy, który zaakceptowało zgromadzenie na wyspie (choć nie jastrzębie z ruchu nacjonalistycznego, które forsują m.in. powszechne użycie lokalnego języka w administracji). W zeszłym roku rząd Macrona przedstawił projekt stosownej ustawy, ale czy zostanie on finalnie przeforsowany – nie jest to przesądzone. Bowiem w ślady Korsykanów mogliby pójść mieszkańcy Bretanii, a być może też kilku innych regionów Francji, co tylko spotęgowałoby polityczny kryzys, z którego Paryż nie może się wykaraskać od lat. I tak oto, z całym szacunkiem, ogon kręci psem. ©

Idee



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wzrost gospodarczy bez inwestycji

Jan Cipiur

Uczestnicy grudniowego seminarium Towarzystwa Ekonomistów Polskich (TEP) mieli za zadanie sprawdzić, czy możliwy jest konsensus w sprawie reform koniecznych dla zapewnienia Polsce wzrostu. Zważywszy na ostry konflikt polityczny, o wielkich reformach nikt się nawet nie zająknął. Wyrażnie ujawniło się jednak przekonanie, że mimo politycznej zawieruchy można uwolnić nietradycyjne źródła wzrostu i rozwoju, które są – lub częściej: mogą być – dla gospodarki efektywną turbosprężarką.

Zamówienia publiczne dla rodzimych firm

Słuszne byłoby skupienie się na rozwoju polskich przedsiębiorstw poprzez system zamówień publicznych – mówił Ignacy Morawski z „Pulsu Biznesu”. Dzięki państwu mogłyby powstawać warunki do wytwarzania urządzeń, rozwiązań cyfrowych oraz innych produktów/usług potrzebnych w kraju, a teraz kupowanych za granicą.

Jest być może miejsce na takie rozwiązanie w postaci małej ścieżki doświadczalnej, ale układanie dla niego drogi byłoby błędem. Od lat kolejne ekipy rządowe wypalają ogniem „błędy i wypaczenia” poprzedników, więc zamówienia rządu X szłyby do kosza po zmianie ekipy na Y. Skoro zamówienia publiczne miałyby obejmować zupełnie nowe urządzenia i technologie, to skąd brać kosztowe punkty odniesienia, bez których rzeczono przetargi stałyby się dla państwa dziurawym workiem z wielkimi pieniędzmi?

Zasadniczy jest jednak inny argument przeciw. Od lat wiemy, że państwo nie jest stworzone do kierowania gospodarką. Błądzi i przegrywa z oczywistej przyczyny, że gdy wciela się w rolę kierownika, wydaje pieniądze, na których pozyskanie nie wyłało wiader własnego potu. Podpisywanie przez państwo kolejnych faktur nie wywołuje dygotu, zwłaszcza że na każdym dokumencie są liczne pieczętki z bezpośrednią lub pośrednią zgodą na wypłaty środków. Tworzenie podkładek trwa jednak bardzo długo, co sprawia, że potencjalna realizacja zamówienia publicznego na stworzenie czegoś, co jeszcze nie istnieje, kończy się prezentacją analogowego telefonu, który miałby konkurować z najnowszym smartfonem.

Problem z udziałem państwa w biznesie polega także na tym, że gdy dać mu mały palec, to nie mija chwila, a już sprawuje przewodnią rolę w gospodarce. W najlepszym razie kończy się to marazmem w wyniku wdepnięcia w pułapkę średniego rozwoju. Co gorsze, wyrwać państwu to, co kiedyś samo wyrwało, jest praktycznie niemożliwe i na zauważalną skalę ma miejsce tylko w momentach przełomowych, takich jak w Polsce upadek PRL, w Wielkiej Brytanii – rządy lady Thatcher, a w Szwecji wielki kryzys finansowy przed końcem XX w.

W ujęciu mikro firmy kontrolowane przez państwo tracą czas w oczekiwaniu na instrukcje od właściwego ministra, który i tak zdaje się na doradców niegrzeszących śmiałością i rozmachem. W bieżącej i krótkiej perspektywie SSP wybierają więc podejścia niekontrowersyjne, czyli co najwyżej mialkie.

Mówi się, że w USA jest jakoby inaczej, lecz po śmierci Franklina D. Roosevelta dotyczy to niemal wyłącznie broni i militarnych zastosowań technologii oraz kosmosu. Amerykański system zamówień jest ponadto niesłuchanie rozrzutny. Jeden, i to nie najbarwniejszy, przykład: US Navy zamówiła lata temu okręty podwodne nowej klasy SSN(X). Według założeń z 2014 r. pierwsza jednostka miała być gotowa w 2021 r., potem w 2025 r., a aktualny termin to 2040 r. lub jeszcze później.

Zmurszały rynek kapitałowy musi zacząć błyszczeć

W grudniu 2025 r. oszczędności osób prywatnych zdeponowane w bankach wyniosły nieco ponad 1,3 bln zł. Te wielkie pieniądze wspierają system bankowy, ale drogę do przedsiębiorstw mają przymknąć. Leszek Skiba, doradca Prezydenta RP, a wcześniej wiceminister finansów i prezes Pekao SA, mówił w tym kontekście

o wzmacnianiu rynku kapitałowego, bardzo osłabionego wskutek przekierowania uwagi Polaków z pieniędzmi w portfelach na nieruchomości. Warunkiem powrotu oszczędności na giełdę i inne domeny kapitałów jest w opinii Skiby niwelowanie ryzyka prawnego i powrót dawno nieodczuwanego poczucia stabilności. Ponieważ nic nie zapowiada unormowania sytuacji konstytucyjno-sądowo-prawnej, rozwiązaniem pomostowym mogłoby się stać utworzenie odrębnych, wyspecjalizowanych sądów zajmujących się sprawami szeroko rozumianych inwestycji i transakcji kapitałowych. W ten sposób można byłoby zapewnić rozstrzyganie spraw przez sędziów mających te kwestie w małym palcu, co zdecydowanie przeczy dzisiejszym realiom.

Swoje w tej sprawie dołożył prowadzący seminarium były wiceminister finansów Stefan Kawalec, zauważając na przykładzie kadłubków po OFE, iż Polacy nie mają zaufania do programów sponsorowanych przez państwo. Na przykład w bardzo hojnym dla oszczędzających na długi okres programie pracowniczych planów kapitałowych (PPK) bierze udział zaledwie jedna trzecia pracowników. Tak niewiele, mimo że ich wpłatom towarzyszą wpłaty ich pracodawców. To tak, jakby zamówić w eleganckiej restauracji wytworne danie główne i dostać do tego w gratisie półmisek ostryg. Wniosek: Polacy nie polubili jeszcze ostryg. Niech żałują, ale potem niech nie szkodują. Jeśli inwestycje dokonywane w ramach PPK przyniosłyby po latach mały zwrot, to oszczędzający i tak sporo zyskaliby (zyskują) dzięki systematycznym wpłatom swoich pracodawców.

Suwak OFE

Dobrze pomyślany ćwierć wieku temu program OFE kończy żywot. Są tej agonii przykre skutki. Podobnie jak w największych i najsilniejszych państwach Europy, zobowiązania emerytalne polskiego państwa nie mają w olbrzymiej większości pokrycia w rzeczywistych zasobach finansowych. Gorzej, że gdy dzisiejsi 50-latkowie zaczną przechodzić w stan zawodowego spoczynku, na ich emeryturyłożyć będą mniej liczne pokolenia ich dzieci i wnuków. Na mniej grzaskim terenie, znacznie bezpieczniejszym dla starców, są w Europie jedynie Holandia, Szwecja, Dania i Islandia, w których dzięki wielkiemu rozbudowaniu prywatnych funduszy inwestycyjnych duża część zobowiązań emerytalnych ma pokrycie w łatwych do upłynnienia aktywach, czyli w uproszczeniu – w żywej gotówce.

Niedługo czeka nas zatem dramat – trzeba będzie podnieść wiek emerytalny i jednocześnie składki. Kawalec podsunął rozwiązanie łagodzące, które polegałoby na tym, że środki z suwaka OFE zamiast na wirtualne rachunki emerytalne w ZUS byłyby kierowane na indywidualne konta uczestników PPK. W okresie 2014–2025 OFE umorzyły w ramach suwaka i przekazały do ZUS jednostki uczestnictwa o wartości ok. 80 mld zł. Pieniądze te rozchodzą się obecnie na regulowanie bieżących zobowiązań emerytalnych ZUS, zaś w PPK byłyby pomnażane.

Gdyby założyć, przykładowo, że środki z suwaka wędrowałyby na jakiś „ostrożny” fundusz inwestycyjny, a średnioroczna realna stopa zwrotu (stopa wyliczana jako inflacja + zwrot) wyniosłaby jedynie 0,5 proc., to w 2025 r. fundusz miałby dziś realną wartość niemal 82 mld zł, a przy realnej rocznej stopie zwrotu równej 3 proc. prawie 92 mld zł. Niby mało, ale tych pieniędzy starczyłoby na wypłatę 8 mln emerytów świadczeń należnych za trzy lub trzy i pół miesiąca (w kwietniu 2025 r. ZUS wydał na emerytury ok. 26, mld zł).

Zatkanie luki w bieżących przychodach ZUS poprzez odcięcie strumyka z OFE wymagałoby relatywnie niewielkich cięć w budżecie, co dziś wydaje się jednak nie do przeprowadzenia, więc miejsce pomysłu jest na półce z dobrymi chęciami. Późniejsze rozwinięcie rynków kapitałowych degradowanych w Polsce przez minione ćwierćwiecze to kwestia z rodzaju być albo nie być. I tu też ustawiono wielkie przeszkody, głównie natury ideologiczno-politycznej, więc dziś nie do dyskusji, ponieważ słowa takie jak kapitał i prywatyzacja są – z małymi wyjątkami – w kręgach politycznych od dawna zakazane.

Przepływ danych

Dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego Maciej Sobolewski przywołał z kolei resztę Solowa. Solow uznał 70 lat temu, że części wzrostu gospodarczego nie da się wyjaśnić zaangażowaniem kapitału i pracy, i tę właśnie część nazwał resztą, składającą się w jego ówczesnej opinii głównie z badań i rozwoju oraz edukacji.

Minęło sporo lat od jego obserwacji i sformułowania na ich podstawie przełomowych wniosków, więc „reszta” jest dziś większa i bardziej urozmaicona.

W opinii Sobolewskiego olbrzymim polem do wykorzystania jest w tym kontekście data flow, czyli przepływ informacji gromadzonych wszędzie i powszechnie, ale u nas trzymany pod kluczem szeroko rozumianego państwa, instytucji publicznych oraz przedsiębiorstw. Mnożą się opinie, że już w nadal wstępnej fazie wykorzystywania sztucznej inteligencji (AI) pożytek z data flow może być dla rozwoju i wzrostu gospodarczego równy lub większy od zysków zawiązywanych tradycyjnym badaniami i wdrożeniami (B+R).

Korzyści ekonomiczne z ograniczonego lub pełnego przepływu danych ujawniają się m.in. w notowaniach giełdowych oraz statystykach gospodarczych, zwłaszcza z USA i Chin. W obu tych gigantycznych państwach trwa wyścig o prymat w AI. Jego efekty ekonomiczne widać jak na dłoni. Na przykład wedle wszelkich znanych zasad gospodarka USA powinna uciepieć na nieskoordynowanych posunięciach Donalda Trumpa, a tymczasem w trzecim kwartale 2025 r. realny PKB za ten okres wzrósł w ujęciu rocznym o 4,3 proc. Prezydent twierdzi, że to skutek zaordynowanych przez niego celi, ale to teza mocno wątpliwa. Zdaje się, że dały o sobie znać wstępne efekty ekspansywnego „kolonizowania” przez Amerykanów wielkich połaci

Jest w Polsce potrzeba dokonywania rzeczy wielkich, ale jeśli w warunkach ostrego podziału i politycznego rozproszenia Polaków jest to marzenie ściętej głowy, to niech dzieją się chociaż rzeczy mniejsze, choć nieblahe

AI, które staną się zapewne dla USA tym, czym kilka stuleci temu było dla Hiszpanów srebro oraz złoto Majów i Inków.

W amerykańskiej gospodarce wolnorynkowej zasoby informacji są towarem podlegającym wymianie. Dzięki temu mogą powstawać ogromne, dynamiczne zbiory danych, których zaawansowana przeróbka daje wielomiliardowe efekty finansowe. Obrót danymi ułatwiają luźniejsze w USA regulacje dotyczące praw autorskich i patentowych. W UE i w Polsce data flow na optymalną skalę to głównie pieśń nieokreślonej przyszłości, więc warto sięgać choćby tylko po owoce z najniższych gałęzi. Mowa tu np. o korzyściach firm e-commerce z automatyzacji przepływu informacji o zamówieniach. W bankowości przepływ danych transakcyjnych umożliwia m.in. sprawniejsze wykrywanie nietypowych wzorców i w rezultacie ogranicza potencjalne oszustwa. W firmie produkcyjnej agregowanie i automatyczna analiza ciągłych sygnałów z czujników obserwujących pracę urządzeń wyznacza optymalne daty konserwacji i przedłuża okres bezawaryjny.

Zero burocracy

Dokładnie rok temu, w grudniu 2024 r. Estonia zakończyła cyfryzację wszystkich usług rządowych. Końcowym akordem było wprowadzenie możliwości wystąpienia o rozwód po wypełnieniu właściwych formularzy na rządowej stronie internetowej.

Enel Pungas z estońskiego MSW powiedziała, że „cyfryzacja rozwodów odzwierciedla zaangażowanie Estonii w upraszczanie i ułatwianie dostępu nawet do najbardziej złożonych wydarzeń życiowych. Nie chodzi tylko o technologię, ale o tworzenie usług, które zaspokajają potrzeby ludzi w trudnych chwilach”. Dla uczczenia tego osiągnięcia Estonia przeprowadziła w pierwszym kwartale minionego roku kampanię „100% Digital and 0% Bureaucracy”.

Władze Estonii zapewniają, że ich model e-rządu jest do wykorzystania wraz z narzędziami i gotowymi systemami na całym świecie.

Podatki jak kaczki

Niesamowite znaczenie dla gospodarki miałyby czytelny i stabilny system podatkowy – podkreślił Aleksander Łaszek z Deloitte. Mógłby mieć, ale nie ma i w dającej odgadnąć się przyszłości mieć nie będzie. Tak poplątany, nieprzewidywalny i zmienny system podatkowy jak u nas, to sadomasochistyczny zabójca rozwoju i wzrostu. Dopiero na dalekim drugim miejscu jest w tym kontekście wysokość stawek podatkowych. Obowiązujące w Polsce są do przyjęcia. Każdy biznesmen wolałby wprawdzie odprowadzać niższe podatki, ale znakomita większość to trzeźwi realisci, którzy wiedzą, że tego akurat nie dożyją.

Działającą niespiesznie, lecz zabójczą trucizną jest niejednoznaczność obowiązków podatkowych. Dyrektor Krajowej Informacji Skarbowej podpisuje rocznie ok. 20–25 tys. interpretacji podatkowych. Poruszanie się firm po przepisach i ich interpretacjach to zatem przeprawa przez trzęsawiska i nierzadko – topieliska. Same w sobie interpretacje to nienajważniejszy kłopot. Problem z nimi polega głównie na tym, że zastępują stabilne prawo. W konsekwencji litera bardzo kiepskiego na tym polu prawa ustępuje mniemaniom urzędników kierujących się rzeczywistymi lub domyślnymi oczekiwaniami władzy wykonawczej, która od zawsze jest przeciwna w Polsce w kłopotcie budżetowym.

Skąd tyle wątpliwości w sprawach obowiązków podatkowych? Polskie prawo podatkowe jest nie tylko niezwykle kazuistyczne, pełne wyjątków, odesłań oraz niejasności: przypadkowych czy może jednak nieprzypadkowych. Przepisy podatkowe zmieniane są na gwizdek, w który dmucha głównie rząd. W większości zmian nie uświadczyś logiki i spójności z dotychczasowym dorobkiem. To najważniejsza przyczyna tak częstego sięgania przez biznes po indywidualne interpretacje podatkowe. W efekcie stały się one rodzajem ubezpieczenia przed ryzykiem podatkowym. W ruchu drogowym państwo stara się zmniejszać zagrożenia, w przypadku podatków intensywnie je pomnaża.

Łaszek powtórzył za wieloma innymi, że system podatkowy powinien być neutralny. Jest to pojęcie wieloznaczne, ale trafne jest skojarzenie z kaczkami, które również zimą są niemal wale na wodzie, a nie ziębną. Zawdzięczają to smarowaniu się tłuszczem, który czerpią z gruczołu położonego w pobliżu ogona i który rozprowadzają dziobem po piórach. Neutralne podatki powinny zatem służyć po nas jak woda po kaczkach, a nam, nieborakom wystarczyłyby nieabsorbujące ruchy „dziobem”, żeby z nimi egzystować.

W dobrym kierunku idzie pomysł wprowadzenia obowiązkowych testów przystępności i zrozumiałości przepisów przed przesłaniem projektów ustaw do łaski marszałkowskiej lub publikacją rozporządzeń. Mógłby to być młot na wykucie w metalu czytelności paragrafów. Wystarczyłoby, gdyby potencjalne pilotaże gromadziły służby finansowe przedsiębiorstw, doradców podatkowych i wszystkich innych zainteresowanych. Z setek innych propozycji formułowanych w szeroko rozumia-

nej kwestii podatkowej na nieustanne powtarzanie zasługuje postulat sformułowany przez polską afiliację Grant Thornton wprowadzenia przy zmianach podatkowych minimum półrocznej vacatio legis, ustanowienia ustawowego zakazu wprowadzania zmian podatkowych w trakcie roku, jak również obowiązku dokonywania po roku dwóch ocen skutków regulacji (OSR) z udziałem przedsiębiorców. Realizacji tych postulatów nie wolno zaniechać, a jednak ciągle są nieziszczalne.

Pot nie musi nas oblewać

Polska potrzebuje wielkich zmian, bo, tak jak wszystkie inne, nasza gospodarka powinna dostosować się do rewolucyjnej metamorfozy dokonującej się w świecie.

Wcześniej byliśmy w tym świetni. Parafrazując, dość szybko udało się nam pożegnać Maluchy, zresztą nie rodzimego, ale włoskiego chowu, bardzo krótko trwała faza Polonezów. Dziś na drogach rządzą miliony zużytych aut z Niemiec, a tylko po ulicach wielkich miast pomykają stada nowych Mercedesów, BMW czy Lexusów. Trzymając się tego przykładu, bez wielkich zmian nie doczekamy się na drogach milionów najnowszych modeli aut spod igły lub prawie nieśmiganych.

Wszystkie przemyslenia uczestników seminarium sprowadzają się do akronimu TFP. Po angielsku to Total Factor Productivity, po polsku – całkowita wydajność wszystkich czynników. TFP jest równoznaczne z zapominaną resztą Solowa. Usłyszeć można anegdotę, że TFP jest miarą ignorancji ekonomistów, którzy nie potrafili przypisać rosnącej części wzrostu gospodarczego do konkretnych wkładów w formie kapitału i pracy. Mawia się, że jest co najmniej 1001 sposobów na osiągnięcie większych wartości TFP. Cytowany przez „The Economist” Arnold Harberger z UCLA lubi posługiwać się przykładem szefa firmy odzieżowej, który zwiększył wydajność pracownika o 20 proc. dzięki odtwarzaniu muzyki w szwalniach. TFP kojarzone jest zatem z technologią i wydajnością, a nie z wysiłkiem lub kosztami. Noblista Paul Krugman mówi w tym kontekście o „inspiracji” w miejsce „potu”.

Na czele zestawienia państw z najwyższym udziałem TFP sporządzonego na podstawie Penn World Table są oczywiście USA, a za nimi Szwajcaria i Dania. Wysoko, ale niżej niż państwa Europy Zachodniej są Korea Płd., Tajwan i Japonia, które tworzą PKB przede wszystkim usilną pracą. Narzędzie AI twierdzi, że pod względem pozytywnego wpływu TFP Polska znajduje się mniej więcej na 30.–40. miejscu na świecie, czyli w środku globalnej stawki, ale daleko za liderami.

W tablicach Penn University ukryła się wszakże niespodzianka. Zajmując obecnie mniej więcej siódme miejsce w świecie, Polska należy do globalnej szpicy wzrostu TFP w okresie 1990–2023. Wyprzedzamy USA, Japonię i większość państw Europy Zachodniej. Przed nami i na pierwszym miejscu w tym zestawieniu jest Korea Płd., za nią Chiny, Indie, Tajwan, Chile i Peru. Dwóch ostatnich nikt o coś takiego w najśmielszych snach by nie podejrzewał, a jednak. W naszym przypadku bardzo wysoką pozycję zawdzięczamy głównie integracji w ramach UE i wielkiej modernizacji przemysłu. Nie wiadomo, czy uczestnicy seminarium mieli świadomość tej polskiej ucieczki do przodu, ale wszystkie ich propozycje sprowadzały się właśnie do TFP. Trafili w punkt „możliwości” na zbyt szerokich przestrzeniach „niemożliwości”. ©©

Autor jest publicystą ekonomicznym, członkiem Towarzystwa Ekonomistów Polskich



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Chiński zamiennik dolara

Artur Klimek

Za każdym razem, gdy pojawiają się wątpliwości co do siły dolara amerykańskiego, natychmiast zaczyna się poszukiwanie alternatywy. W drugiej kadencji Donalda Trumpa takich momentów było wiele, a paleta potencjalnych zamienników jest szeroka. Wskazuje się na euro, franka szwajcarskiego, złoto, a nawet bitcoina. Ale to chińska waluta – renminbi (której podstawową jednostką jest juan) – jest najczęściej wymieniana jako naturalna następczyni dolara w globalnym porządku finansowym.

Chiny to druga gospodarka świata, największy eksporter i drugi po USA importer. Dominują w produkcji i posiadają największe na świecie rezerwy walutowe. Mogą zatem wymusić używanie swojej waluty w transakcjach międzynarodowych. Trzy największe chińskie giełdy (Szanghaj, Shenzhen i Hongkong) ustępują pod względem łącznej kapitalizacji tylko amerykańskiemu rynkowi. Skoro argumentów za powszechnym wykorzystaniem renminbi jest wiele, to dlaczego to się nie dzieje? Krótka odpowiedź: ograniczone zaufanie inwestorów i ostrożność chińskich władz.

Szczególny aspekt tej waluty to podział na handel na lokalnym rynku (kod waluty CNY), gdzie wartość jest ustalana przez Ludowy Bank Chin w ramach dziennych fixingów, oraz odbywający się poza granicami kraju, kształtowany przez rynek handel offshore (kod waluty CNH).

Ustalanie kursu w ramach fixingu powoduje, że kurs waluty do pewnego stopnia zależy od sytuacji rynkowej, a jednocześnie jest ściśle kontrolowany przez władze. Podejście do wartości tego pieniądza to czynnik ograniczający jego międzynarodowe zastosowanie. Inwestorzy nie mogą mieć pełnego zaufania do podstaw wartości tej waluty. Zdarzały się też dewaluacje przejawiające się obniżeniem kursu w fixingu. W 2015 r. wartość została obniżona o prawie 2 proc. w stosunku do dnia poprzedniego, co spowodowało ucieczkę inwestorów. Szacuje się, że w 2016 r. chińskie władze monetarne musiały przeznaczyć setki miliardów dolarów rezerw na obronę kursu własnej waluty. W ten sposób ich rezerwy spadły z ponad 4 bln do ponad 3 bln. Na podobnym poziomie utrzymują się do dziś.

Po włączeniu Chin w struktury globalnej gospodarki wykorzystanie renminbi na rynku międzynarodowym było mocno ograniczane przez Pekin. Nawet po akcesji do Światowej Organizacji Handlu w 2001 r. przez kilka lat utrzymywano niski stały kurs waluty, co dawało im dodatkowe przewagi na giełdach zagranicznych.

Przez wiele lat wartość chińskiego pieniądza była bezpośrednio powiązana z dolarem. Reformy z 2005 r. wprowadziły kwotowanie względem koszyka walut, w którym najwyższą wagę nadal miał amerykański pieniądz. Częściowe uwolnienie wartości chińskiej waluty spowodowało jej stopniowe umacnianie, które trwało do 2008 r. Wówczas ponownie wprowadzono ścisłą kontrolę i usztywniono wartość pieniądza wobec dolara. Po globalnym kryzysie finansowym zwiększono możliwości wykorzystywania renminbi w sferze międzynarodowej. Od października 2016 r. włączono je do koszyka walut, od którego zależy wartość jednostki rozliczeniowej Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Renminbi stało się pierwszą walutą kraju wschodzącego w tym elitarnym gronie.

W obecnej dekadzie sprawy przyspieszyły. Przywódca Państwa Środka Xi Jinping stwierdził w 2024 r., że chiński pieniądz powinien mieć status „globalnej waluty rezerwowej”. Można się więc spodziewać dalszych kroków w kierunku zwiększenia jej użycia w handlu międzynarodowym i inwestycjach. Władze w Pekinie przeszły od sceptycyzmu, przez stopniowe otwarcie, po determinację, by uczynić z renminbi silną globalną walutę.

Cel ten wydaje się odległy. W 2024 r. renminbi stanowiło zaledwie 2 proc. światowych rezerw walutowych. Dla porównania – dolar amerykański odpowiada za blisko 60 proc. Rola chińskiej waluty na rynku dłużnych instrumentów finansowych jest również niewielka. Nieco lepiej wygląda udział w płatnościach międzynarodowych – 2,73 proc. w grudniu 2025 r. (szóste miejsce na świecie według danych SWIFT). W 2025 r. renminbi, z prawie 9-procentowym udziałem w transakcjach walutowych, było najważniejszą walutą rynków wschodzących (za Bankiem Rozrachunków Międzynarodowych). Udział w tej kategorii stopniowo się zwiększa (w 2022 r. było to 7 proc., a w 2019 r. – 4 proc.). Można interpretować to jako coraz szersze wykorzystanie w transakcjach krótkoterminowych, przy ograniczeniach w długoterminowym lokowaniu kapitału.

Chiny polegają na dolarze w systemie płatniczym i inwestycjach, co rodzi silne uzależnienie strategiczne. Często się podkreśla, że mogą nagle sprzedać posiadane w swoich rezerwach amerykańskie obligacje, by zagrozić w ten sposób gospodarce USA. Rzecz w tym, że sami Chińczycy nie tylko naraziliby się wtedy na straty finansowe, lecz także straciliby dostęp do ważnego rynku zbytu oraz powiązania międzynarodowe. Jako duży wierzyciel mogą lepiej wykorzystać swój status, by wpływać na USA i światowe finanse. Jeśli Chiny wycofują się z amerykańskiego długu, to robią to bardzo ostrożnie i stopniowo, by nie zagrozić swojej gospodarce i pozycji globalnej.

Przez kilka lat Państwo Środka było krajem najwięcej inwestującym w amerykański dług. Rekord padł w 2013 r. – ponad 1,3 bln dol. Ostatnio Chiny zajmują trzecią pozycję (za Japonią i Wielką Brytanią) z wartością 682 mld dol. (niepełna 2 proc. zadłużenia USA). To najniższy poziom od 2008 r. Ale i tak obecna, zmniejszona wartość aktywów dolarowych stanowi aż 20 proc. całych rezerw walutowych kraju.

Ostrożność chińskich władz przejawia się też w tworzeniu powiązań z innymi systemami zamiast szerszego otwarcia. Powiązania te mają zastosowanie do wybranych jurysdykcji i określonych instrumentów finansowych (np. swapy, obligacje, akcje). Szczególnie ważne jest połączenie w hongkońskim centrum finansowym, a także z innymi azjatyckimi gospodarkami, np. z Singapurem i Japonią.

Umiędzynarodowienie chińskiej waluty odzwierciedla zarówno rosnące aspiracje Pekinu, jak i nasilające się napięcia geopolityczne. Dość znacząco ograniczono rezerwy w dolarach amerykańskich, a jednocześnie zwiększono zapasy złota – w ciągu ostatnich kilku lat jego udział w chińskich rezerwach walutowych wzrósł z 3 do 7 proc. Obawy przed sankcjami w związku z zależnością od dolara są realne, dlatego pojawiły się pomysły na własne systemy rozliczeniowe. Jednak radykalne działanie ze strony USA wydaje się nie do pomyślenia. Oznaczałoby ono brak możliwości prowadzenia transakcji z podmiotami w Chinach. Pieniądze zagranicznych inwestorów zostałyby zaś zamrożone.

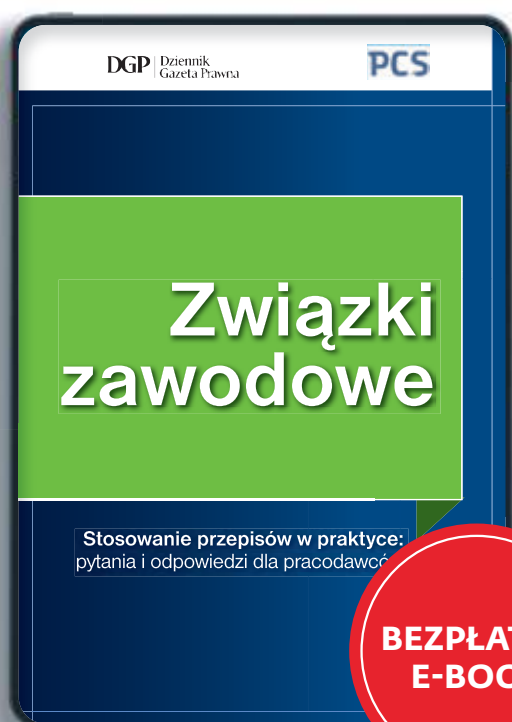
W pierwszej kadencji Donalda Trumpa po nałożeniu ceł nastąpiła obniżka wartości chińskiej waluty. Obecnie nawet w obliczu wojny celnej renminbi zyskuje na wartości. Ewentualna deprecjacja miałaby wpływ nie tylko na chińską gospodarkę, lecz także na inne kraje będące odbiorcami towarów i dostawcami surowców dla największego przetwórcy świata. Kolejne kroki w kierunku umiędzynarodowienia wiązałyby się z tym, że władze monetarne nie mogłyby już tak bezpośrednio wpływać na wartość waluty.

Choć znaczenie Państwa Środka na arenie międzynarodowej rośnie, nie przekłada się to jeszcze na chińską walutę. Jej dalsze umiędzynarodowienie zapewne będzie przebiegać z „chińską charakterystyką”, czyli za pomocą skrupulatnego bilansowania zysków i ryzyka.

©P

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Co trzeba wiedzieć o związkach zawodowych

Odpowiedzi na ponad 140 pytań pracodawców dotyczących stosowania przepisów w codziennej praktyce.

Z poradnika dowiesz się m.in.:

- Czy pracodawca może żądać od związku zawodowego listy wszystkich jego członków?
- Czy pracodawca ma obowiązek współpracować z niezarejestrowanym związkiem zawodowym?
- Co powinien zrobić pracodawca, gdy żądania związków wykraczają poza zakres ustawy?
- Czy można wszcząć spór w sprawie indywidualnego pracownika?

Zeskanuj kod
i pobierz poradnik



Kultura

Kto jest potworem?

Polecam książkę Lulu Miller, oryginalną historię o stracie i odnalezieniu siebie. A także o kulcie siły, władzy i rasowego suprematyzmu – to bardzo aktualny temat

Piotr

Kofta

„Kto walczy z potworem, niech baczy, by sam się przy tym nie stał potworem. A gdy długo spoglądasz w otchłań, również otchłań spogląda ww ciebie” – napisał niegdyś Friedrich Nietzsche („Poza dobrem i złem. Z genealogii moralności”, przeł. Paweł Pieniążek, Oficyna 2018), lecz istnieją także przypadki odwrotne, gdy z walki z potworem i wpatrywania się w otchłań daje się wyciągnąć pożyteczne nauki.

O takim przypadku opowiada osobliwa książka „Dlaczego ryby nie istnieją” autorstwa amerykańskiej dziennikarki naukowej Lulu Miller – hybrydowe połączenie reportażu historycznego, rewizjonistycznej (antybiografii), eseju filozoficznego oraz intymnego pamiętnika własnego kryzysu egzystencjalnego.

I nie ma nic

Miller potwora wstępnie definiuje od razu, na pierwszej stronie – to Chaos, zwany inaczej entropią. „Chaos sprowadzi zgniliznę na twe rośliny, śmierć na twojego psa i rdzę na twój rower. Zniszczy twoje najcenniejsze wspomnienia, obróci w ruinę twoje ulubione miasta, obróci w proch każdy azyl, jaki sobie zbudowałeś. Nie: czy, tylko: kiedy. Chaos to jedyna pewna rzecz na tym świecie. Pan i władca nas wszystkich. Mój ojciec naukowiec nauczył mnie bardzo wcześnie, że nie ma ucieczki przed drugim prawem termodynamiki: entropia jedynie wzrasta; nie da się jej zredukować w żaden sposób”.

Oczywiście można z tymi kategorycznymi stwierdzeniami polemizować na poziomie ideowym (bo nie fizykalnym) – istnieje droga ucieczki, jest nią

wiara w przedustawny, boski porządek. Miller stawia jednak sprawę jasno: w naszej postchrześcijańskiej, złaicyzowanej, scjentystycznej rzeczywistości nie ma już żadnego metafizycznego punktu oparcia. Trzeba skonfrontować się z entropią nago – bez zbroi i przyłbicy. W każdym razie przywołany we wcześniejszym cytacie ojciec, biochemik od badania jonów, na pytanie siedmioletniej Lulu, co jest sensem życia, z szerokim uśmiechem odpowiada: „Nic”. Jakże są wszelako konsekwencje przyjęcia takiego punktu widzenia? Czy trzeba się w związku z tym zabić? A może, jak u Nietzschego, należy ćwiczyć się wytrwale w sztuce życia i wytwarzać – wobec nieobecności narzucającej porządek siły wyższej – własny kodeks moralny?

Nie ma nic dziwnego w tym, że w sytuacji podobnej niepewności poznawczej rozglądamy się w poszukiwaniu autorytetów – ludzi, którzy stawili czoła entropii dzięki sile charakteru i obraniu odpowiedniej strategii postępowania. Wzrok dorosłej już Lulu Miller, pogrążonej w depresji po szeregu osobistych katastrof, pada na pomnikową postać Davida Starra Jordana (1851–1931), wybitnego ichtiologa i taksonoma, pierwszego rektora Uniwersytetu Stanforda. Losy Jordana – uwiecznionego w nazwach wielu instytucji publicznych w USA – sprawiają wrażenie wzorcowej biografii natchnionego naturalisty z epoki scjentystycznego entuzjazmu, badacza, który poświęcił wszystko dla nauki, z maniackim, oświeceniowym uporem realizując swoją misję. Wbrew Chaosowi – bo przecież systemy i klasyfikacje służą właśnie zapanowaniu nad entropią, a Jordan pod koniec życia oceniał, że zdołał ze swoim zespołem odkryć i oznaczyć nie mniej niż jedną piątą ówczesnie znanych gatunków ryb.

Odwrocony akt stworzenia

Zapytacie, gdzie zatem obiecana otchłań? Spokojnie, znajdzie się i otchłań. Ale „Dlaczego ryby nie istnieją” to sprytnie skonstruowana książka. Zaczyna się od klasycznej, bardzo amerykańskiej opowieści o self-made manie, który wydzwignął się z prostej, purytańskiej rodziny ku elitarnym zaszczytom, a zaszczyty te zawdzięczał ciężkiej pracy. Kiedy zna się już cały tekst Miller, nie sposób nie dojść do wniosku, że ta pierwsza część o młodym Jordanie, który układa kwiaty w zielniku, oddaje się pasjom kolekcjonerskim, patrzy w gwiazdy, przeżywa śmierć brata w wojnie secesyjnej i rusza na pierwszą wyprawę badawczą na wody oceaniczne u wybrzeży Massachusetts, to zaciągnięty czarnym humorem pastisz klasycznych biografii.

Tak czy owak, w 1859 r. – w osiem lat po narodzinach Jordana – Charles Darwin wydaje dzieło, które wywraca świat przyrodoznawstwa na lewą stronę. Monografia „O powstawaniu gatunków”, wykładająca założenia teorii ewolucji, obraca w pył wszelkie mniemania o elementarnym ładzie boskiej kreacji, w zamian proponując mechanikę wiecznej zmiany, ślepego procesu doboru i dziedziczenia. Wiele rzeczy na tym świecie wydarzyło się po Darwinie, ale sporo z nich wydarzyło się w wyniku rozmaitych, często całkowicie mylnych, interpretacji darwinizmu. Jordan – w przeciwieństwie do swojego mistrza i nauczyciela, Louisa Agassiza (1807–1873) – zaakceptował ustalenia Darwina. A może nawet poszedł o krok za daleko w próbie ich zastosowania w praktyce.

Miller wychodzi jednak początkowo od innego zdarzenia z życia Jordana: w 1906 r. potężne trzęsienie ziemi dotknęło okolice San Francisco, w tym również budynki Uniwersytetu Stanforda. Rzecz w tym, że Jordan przechowywał w nich gigantyczną kolekcję okazów, często istniejących dla nauki ledwie w jednym egzemplarzu, z nazwą gatunkową wygrawerowaną na cynowej plakietce włożonej do słoja z formaliną. Słoje pospadały z półek i potłukły się, miotając rybami po magazynie. „Najbardziej jednak ucierpiały nazwy. (...) W przerażającym odwróconym akcie stworzenia tysiące skrupulatnie opisanych ryb na powrót przeobraziły się w wielki stos nienazwanego”. Jordan

– z właściwym sobie zapamiętaniem – nie poddał się katastrofie. Igłą i nitką zaczął przyszywać plakietki do tych okazów, które był w stanie zidentyfikować. A potem, co trwało lata, odtworzył i poszerzył swoją kolekcję. To właśnie ten nieugięty upór zafascynował Miller.

I jest potwór

Przyszywanie plakietek do okazów w taki sposób, by nie można ich było rozdzielić, jest zarazem znakomitą, obrazową metaforą ciemnej strony żywota Davida Starra Jordana. W drugiej połowie książka Miller staje się bowiem antybiografią, dekonstrukcją legendy – autorka, cały czas obecna w narracji, subiektywnie przepracowuje i demaskuje własną fascynację.

Jordan za swój upór kazał płacić wszystkim wokół – był przekonany o swojej nieomyślności sobkiem, toksycznym szefem, nielojalnym współpracownikiem wykorzystującym ludzi. Być może także mordercą: Miller barwnie opisuje kryminalną historię otrucia Jane Stanford, współfundatorki uczelni, której Jordan był rektorem – nie udowodniono mu udziału w tym przestępstwie, lecz archiwalne dokumenty wskazują, że organy wymiaru sprawiedliwości potraktowały wybitną osobistość nauki amerykańskiej nader łagodnie.

Z całą pewnością był za to Jordan rasistą i zwolennikiem radykalnej eugeniki. Ze swoich przyrodoznawczych przygód wywiodł – opierając się na idiotycznym i wysoce nietrafnym odczytaniu Darwina – koncepcję dobrych i złych gatunków. Te pierwsze miały wedle niego ewoluować ku pięknu i większej złożoności, te drugie – miały się degenerować, cofać, prymitywnieć. Ową rzekomą prawidłowość lekką ręką przeniósł na ludzi, stając się zwolennikiem, jeśli nie likwidacji osób upośledzonych, brzydkich, biednych, rasowo bądź seksualnie niewłaściwych, to ich skutecznej sterylizacji. W każdym razie chodziło mu o eliminację „ludzkiego szlamu” ze społeczeństwa.

Zaangażował się w ruch eugeniczny z takim samym maniackim uporem, z jakim kolekcjonował ryby. Również w tej nowej dziedzinie miał sukcesy – doprowadził do wielu zmian w prawie i do wprowadzenia przepisów, które jeszcze do niedawna zezwalały w USA na arbitralne stosowanie sterylizacji pod przymusem albo bez wiedzy i zgody kobiety.

W procesie spoglądania w otchłań biografii Jordana – a trwało to wiele lat – sama Miller dowiadywała się wielu nowych rzeczy o sobie samej, choćby tego, że jest biseksualna, a więc, potencjalnie, szkodzi zasobowi genetycznemu czystej i nieskazitelnej aryjskiej rasy. Gdy jednak zaczęła głębiej drążyć temat taksonomii, a ściślej: licznych przewrotów w tej dziedzinie, jakie przyniosły ostatnie dekady badań, zauważyła, że naukowy, racjonalnie zaplanowany dom wzniesiony przez Jordana to domek z kart. Pozostawiam czytelnikom lekturę tej pysznej puenty. Polecam natomiast książkę Miller, oryginalną historię o stracie i odnalezieniu siebie. A także o kulcie siły, władzy i rasowego suprematyzmu – to bardzo aktualny temat. ©

Lulu Miller

„Dlaczego ryby nie istnieją”, przeł. Hanna Pasierska, Czarne, Wołowiec 2026



Historia

Do cna wyzyskana perła

Określanie Indii mianem perły w koronie Imperium Brytyjskiego było uzasadnione, bo to dzięki indyjskim zasobom Zjednoczone Królestwo wyrosło na największe imperium w dziejach

Andrzej

Krajewski

Ekspansja ekonomiczna Chin i traktowanie przez Donalda Trumpa taryf celnych jako najlepszego narzędzia do prowadzenia negocjacji zaowocowały zbliżeniem UE z Indiami. Nagle, po 20 latach bezowocnych negocjacji, w kilka miesięcy Unia dopięła z Nowym Delhi umowę o wolnym handlu. Jej podpisanie pod koniec stycznia zwiastuje nie tylko wzrost wymiany handlowej za sprawą radykalnej obniżki celi, lecz także zacieśnianie więzi gospodarczych.

Europa ma nadzieję, że jej wędnący przemysł zyska perspektywiczny rynek zbytu. Indie zaś nie ukrywają ambicji, by z najludniejszego kraju świata przekształcić się w największą gospodarkę globu. Umowa z UE ma im zagwarantować dodatkowe środki na rozwój. Odwracając sytuację sprzed dwóch stuleci, kiedy to Indie gwarantowały bogacenie się Wielkiej Brytanii.

W poszukiwaniu zysków

„Aby rywalizować z europejskimi manufakturami, musimy szybko uniezależnić naszą produkcję od rynków europejskich. Zatem należy bezustannie dążyć do znalezienia nowych rynków zbytu dla naszego przemysłu w innych częściach świata” – taką wiadomość otrzymał gubernator Indii George Eden od ministra spraw zagranicznych Lorda Palmerstona.

Zjednoczone Królestwo dochodziło właśnie do siebie po kryzysie ekonomicznym, który wybuchł w 1836 r. Spowodowała go olbrzymia nadproduk-

cja przemysłowa, wzniesająca mordercze wojny cenowe pomiędzy firmami. „Koniumkturę próbowano ratować poprzez porozumienia kartelowe i eksport do Stanów Zjednoczonych” – zauważa w „Kronice kryzysów gospodarczych” Wojciech Morawski. Ale niewiele to pomogło i huty, stalownie, zakłady przędzalnicze i inne firmy – stale obniżające ceny wyrobów – zaczęły ogłaszać niewypłacalność. To uderzało w ich kredytodawców. „W grudniu 1836 r. doszło do paniki finansowej w Londynie. Upadły dwa duże banki: Agricultural and Commercial Bank of Ireland i Central Bank of England. Bank Anglii, wsparty finansowo przez Bank Francji i Bank Hamburski, zdołał ustabilizować sytuację. Druga fala bankructw przetoczyła się przez Wielką Brytanię w maju następnego roku” – uzupełnia Morawski. Wtedy też brytyjski kryzys dotarł do USA, Francji i państwów niemieckich.

Dopiero pod koniec dekady sytuacja ekonomiczna na Starym Kontynencie zaczęła się stabilizować. Jednak Lord Palmerston nie wątpił, że za kilka lat kryzys nadprodukcji powróci. Tymczasem w USA, Francji i krajach Rzeszy coraz prężniej rozwijały się firmy konkurujące z brytyjskimi. Zatem najlepszym gwarantem ekonomicznego rozwoju Zjednoczonego Królestwa stawały się nowe rynki zbytu. Najlepiej takie, które dawały przedsiębiorstwom z Wielkiej Brytanii pozycję monopolisty. Dlatego też Palmerston w 1839 r. poinformował gubernatora Indii, że „kraje nad Indusem i Pacyfikiem w niedługim czasie staną się ważnym rozszerzeniem dla naszego handlu”. Zaś zadaniem Edena było wcielenie wizji ministra spraw zagranicznych jak najszybciej w życie. To okazywało się

nie takie trudne, bo sprawowanie kontroli nad Indiami przynosiło Zjednoczonemu Królestwu już pokaźne dochody. Musiał on jedynie je pomnażać. W czym mógł liczyć na wsparcie Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Kompania do wszystkiego

Anglicy podbój Indii zaczęli w 1600 r. od powołania do życia spółki handlowej. „Akcje Kompanii Wschodnioindyjskiej należące początkowo do 55 osób znalazły się w większości w rękach ok. 40 najbogatszych kupców londyńskich, którzy na handlu tym dorobili się stopniowo wielkich fortun” – opisuje Henryk Zins w „Historii Anglii”.

Kompania dzięki pośrednictwu w handlu z Dalekim Wschodem wyrosła na najpotężniejszą spółkę ówczesnego świata. To pozwalało jej zakładać kolejne faktorie w Indiach, korzystając z przywilejów nadawanych przez lokalnych władców, formalnie podległych słabnącym Mogołom. Ale apetyt spółki rósł i za przyzwoleniem rządu Zjednoczonego Królestwa zaczęła ona podbijać kolejne ziemie dzięki własnej armii. Ekspansja w Indiach była łatwa, bo na olbrzymim terenie egzystowały setki słabych, śmiertelnie skłóconych państwów. Zaś Mogołowie utracili zdolność do utrzymywania nad nimi realnej władzy.

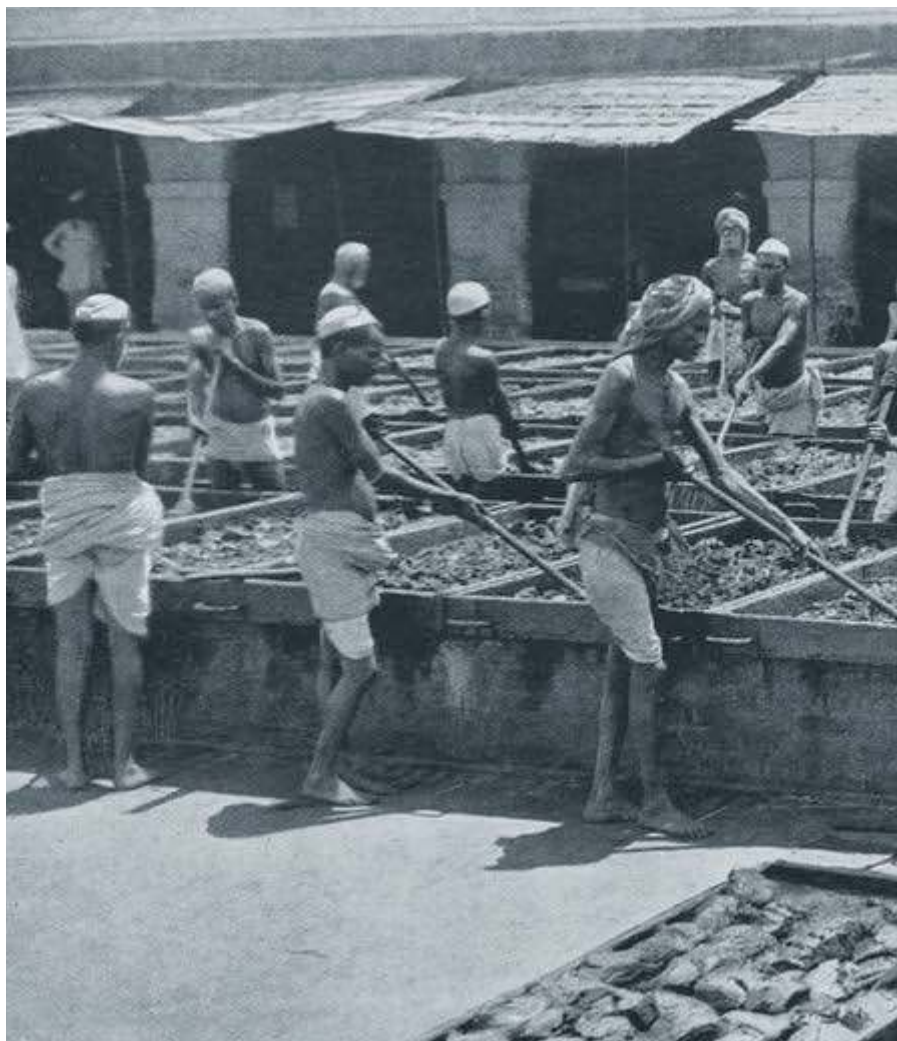
Jedyną siłą mogącą pokonać Kompanię byli Francuzi, także marzący o podboju Indii. Ale gdy w 1756 r. zaczęła się w Europie wojna siedmioletnia, król Ludwik XV musiał skupić się na walce o pozycję Francji na Starym Kontynencie. Wykorzystując tę okazję, Kompania

przystąpiła do rozprawy z najbardziej dla niej niebezpiecznym nawabem Bengalu – decydującą bitwę stoczono 23 czerwca 1757 r. „Było to słynne zwycięstwo Roberta Clive’a, 32-letniego akademickiego wyrzutka, który wcześniej bez powodzenia uczył się na księgowego i nie miał ani odrobiny militarnej przeszkolenia. Nie przeszkadzało to Pittowi Starszemu, ówczesnemu brytyjskiemu premierowi, opisać bohatera jako «naszego wielkiego i zesłanego przez niebo generała»” – relacjonuje w monografii „Krótka historia opium” Thomas Dormandy. „Pitt Starszy miał rację. Jednak nie można było jeszcze wtedy przewidzieć, że bitwa ta położy fundamenty pod dwustuletnie panowanie Brytyjczyków w Indiach” – dodaje autor.

Zwycięstwo pozwoliło Kompanii przejąć kontrolę nad jednym z najbogatszych regionów Indii. W kolejnych dekadach Brytyjczycy rozszerzali swoje władztwo, wykorzystując konflikty między lokalnymi książętami. Przy tej okazji odkryli bogactwo kolonizowanego przez nich kraju – opium.

Narkobiznes w rozkwicie

„Przez całe wieki w Indiach obróbka uprawianego chałupniczo maku była zajęciem domowym, zazwyczaj zostawianym kobietom (podobnie jak inne prace domowe i większość niedomowych). Główną część produkcji przeznaczano na potrzeby rodziny – było to typowe lekarstwo na wszelkie codzienne dolegliwości, a także na wybuchającą sporadycznie cholerę. Mniejsze ilości przeznaczano na lokalny rynek” – opisuje Dormandy.





Produkcja opium
w brytyjskich Indiach

FOT. ILBUSA/DIGITAL VISION VECTORS/GETTY IMAGES

Dopiero za rządów Mogołów handel opium zaczął przynosić dochody władcom. Wyczuleni na zysk Anglicy zauważyli to. „Warren Hastings, następca Clive’a, był synem biednego urzędnika, a zarazem pierwszym brytyjskim gubernatorem generalnym i ostatnim, który zajął to stanowisko z awansu. Znał handel makowym towarem od podszewki” – pisze Dormandy.

Tymczasem opium robiło furorę w Wielkiej Brytanii i USA. Kompania mogła sprzedać każdą jego ilość – wystarczyło tylko zwiększyć produkcję. Jednak chłopci nie chcieli rezygnować z uprawy zbóż, bojąc się głodu. Zatem gubernator postanowił ich do tego zmusić, używając wojska. „By podnieść skuteczność kontroli, Hastings ograniczył uprawę maku do stanów Patna i Bihar. Sąsiednim rozkazał, żeby hodowcom maku dostarczały potrzebne im do przeżycia ryż i owoce. Wkrótce ludzie mieszkający w pasie od Patny do Benares (obecnie Waranasi) nie uprawiali nic innego niż mak. I byli zdani na łaskę sąsiadów” – relacjonuje Dormandy.

Ci zaś, gdy tylko mogli, wstrzymywali dostawy żywności. Zatem chłopci uprawiający mak przymierali głodem. Mimo to Hastings twardą ręką utrzymywał dyscyplinę i nie tylko nie pozwolił, aby uprawy zostały ograniczone, lecz stale powiększał ich areal. W latach 80. XVIII w. objęto nimi ziemię o powierzchni ponad 1 mln ha. Po zbiorach tony skrzyń z wysuszonym opium trafiały do portów, by wypłynąć w świat. „Wkrótce liczba skrzyń ekspediowanych rocznie z regionu Patny przekraczała 200 tys. Zysk netto z jednej skrzyńni ocenia się na 80 funtów. Ogółem na produkcji i sprzedaży opium londyńscy inwestorzy przypuszczalnie zarabiali rocznie ponad 2 mln funtów” – wylicza

Dormandy. „Stopniowo jednak schemat handlu ulegał zmianie. Coraz więcej statków opuszczających Kalkutę kierowało się na wschód, nie na zachód. Niebiańskie Królestwo Chin było blisko. Było ogromne. I podobno nieskończenie bogate” – uzupełnia.

Bezwzględność imperium

Wielka Brytania importowała z Chin herbatę, jedwab i porcelanę, lecz nie posiadała towarów interesujących dla Chińczyków – płaciła więc srebrem i złotem za luksusowe dobra. To powodowało sukcesywny odpływ kruszców na Daleki Wschód. Tymczasem stabilność funta i zaufanie rynków do banków opierały się na odpowiednio wielkich rezerwach drogich metali.

Kierujący polityką zagraniczną Zjednoczonego Królestwa Lord Palmerston dostrzegł proste rozwiązanie. Produkowane w Indiach opium należało przekierować na rynek chiński, traktując je jako walutę, za którą kupowano by luksusowe towary z Państwa Środka. Jednocześnie Indusi dopuszczeni do zysków z handlu narkotykiem mieli się stać masowymi konsumentami wyrobów brytyjskiego przemysłu. Tym sposobem Londyn zapewniał sobie olbrzymią nadwyżkę handlową, odsuwając jednocześnie od siebie groźbę kryzysu nadprodukcji. Wszystko bez ponoszenia większych kosztów.

By tak się stało, konieczna okazała się ekspedycja militarna wysłana na Daleki Wschód w 1840 r. Cesarz Chin Daoguang postanowił zablokować import indyjskiego opium, w którym partycypowali na masową skalę chińscy kup-

cy. W odpowiedzi przybyła Royal Navy – brytyjska marynarka wojenna oraz armia szybko udowodniły Chińczykom swoją przewagę i po serii upokarzających klęsk Daoguang musiał w sierpniu 1842 r. prosić o pokój. Traktat, jaki podpisano na pokładzie HMS Cornwallis, znosił bariery handlowe, otwierając Państwo Środka na brytyjskie towary, włącznie z opium.

Wkrótce Chiny spróbowały ponownie stawiać opór, co przyniosło w latach 1856–1860 drugą wojnę opiumową, zakończoną kapitulacją i podpisaniem pokoju w Pekinie. Otworzył on cesarstwo na ekspansję europejskich mocarstw. „Cztery lata po podpisaniu traktatu pekińskiego siedem ósmych całego chińskiego importu pochodziło z samej Wielkiej Brytanii lub jej kolonii. W szczególności w latach 1859–1882 import opium z Indii do Chin wzrósł z 51 tys. skrzyń do bezprecedensowej liczby 112 tys.” – wylicza Dormandy.

Rozkwitowi wymiany handlowej towarzyszyła intensywna przebudowa indyjskiego rolnictwa. Brytyjscy kolonizatorzy parli do powiększania upraw maku, ale też dostrzegali, że poza nim induscy chłopci mogą zapewnić wiele innych, cennych surowców. Konsumentom na Wyspach Brytyjskich oraz w całej Europie i USA łaknęli herbaty i przypraw. Przemysł natomiast potrzebował każdej ilości bawełny, juty oraz barwnika indygo. Chińscy rolnicy uprawiali te rośliny od wieków, ale przecież mogli robić to i Indusi. Wprawdzie na początku nie bardzo chcieli, bo od pokoleń uprawiali ryż i jęczmień, aby wyżywić swoje rodziny.

Ale brytyjscy kolonizatorzy potrafili być morderczo skuteczni, zmuszając ich do uprawy bawełny, herbaty i innych roślin nienadających się do jedzenia. Jakie przynosiło to skutki, po raz pierwszy przekonano się w 1876 r. Słabe plony zbóż zaowocowały klęską głodu. Potem nadciągnął on jeszcze w latach 1896 i 1899 Mike Davis w książce „Late Victorian Holocausts” szacuje, iż z głodu zmarło od 12 mln do nawet 29 mln Indusów. Londyn, a także rządzący Indiami w imieniu brytyjskiej korony kolejni wicekrólowie masowy pomór ludności po prostu ignorowali.

Z pomocą ofiarom przyszli jedynie farmerzy z amerykańskiego stanu Kansas, którzy pod wpływem doniesień prasy zorganizowali zbiórkę i transport zboża do Indii. Jak opisuje Davis, cały kontyngent rząd Jej Królewskiej Mości obłożył cłem, co wywołało powszechne oburzenie w Stanach Zjednoczonych. Wówczas na początku 1900 r. również mieszkańcy Wysp Brytyjskich zaczęli zbierać fundusze na pomoc głodującym. Przesłano je wicekrólowi Indii Lordowi Curzonowi. Ten je przyjął i całą sumę wydał na odrestaurowanie świątyni Tadž Mahal oraz wybudowanie okazałego pomnika królowej Wiktorii w Kalkucie.

Miejsce w koronie

„Wykorzystując spory i walki lokalnych władców, niewielka liczba Anglików (ok. 100 tys.) potrafiła rządzić Indiami, krajem o blisko 200 mln mieszkańców” – opisuje Henryk Zins. Umiejętnie stosowana przez Brytyjczyków rzymska recepta divide et impera zawiodła tylko raz – i to z powodu przeoczenia drobiazgu.

W 1857 r. hinduskim żołnierzom służącym w brytyjskiej armii – sipajom – dostarczono ładunki prochowe do strzelb, zakonserwowane tłuszczem zwierzęcym. Sipajowie pochodzili ze wszystkich kast i wyznawali różne religie, byli wśród nich hinduiści, muzułmanie, buddyści, sikhowie etc. Jednak konieczność wzięcia do ust ładunku prochowego, by rozerwać zębami woreczek posmarowany czymś, co kiedyś było świnia lub krowa, po raz pierwszy zjednoczyła ich ponad podziałami. Religia zakazywała muzułmanom jedzenia wieprzowiny, a dla reszty sipajów krowy były świętymi zwierzętami. Tak Brytyjczycy zafundowali sobie rebelię. Upokorzeni hinduscy żołnierze postanowili bowiem policzyć się z kolonizatorami za wszystkie krzywdy, jakich doznali mieszkańcy Indii.

Powstańcom udało się opanować Delhi i ogłosić Wielkim Mogołem spadkobiercę dawnych władców Bahadur Szaha II. Dni rządów Zjednoczonego Królestwa wydawały się policzone. Ale rebelianci wkrótce się podzielili, zaś liczni maharadzowie woleli trzymać z Londynem, bojąc się powrotu Mogołów. Liczący 45 tys. żołnierzy brytyjski korpus ekspedycyjny stłumił więc bez większych problemów rebelię, pokonując sześciokrotnie liczniejsze siły powstańcze.

Jednak bunt sipajów potraktowano jako ważny sygnał ostrzegawczy. Indie stały się dla Wielkiej Brytanii zbyt istotne, by ryzykować ich utratę. Jak zauważyła w książce „Imperium: Jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat” Niall Ferguson: „Indie były strategicznym rdzeniem Imperium Brytyjskiego” i Londyn potrzebował ich, „aby kontrolować całą półkulę, rozciągającą się od Malt do Hongkong”. A na dokładkę bogactwo subkontynentu poprawiło standard codziennego życia Brytyjczyków. Dlatego w 1858 r. rozwiązano Kompanię Wschodnioindyjską i kolonia przeszła pod bezpośrednią kontrolę rządu, który w imieniu monarchy wyznaczał wicekróla. Po czym w 1876 r. królowa Wiktorja przyjęła tytuł cesarzowej Indii.

Nie zmieniło to sposobu eksploatacji tamtejszych bogactw i ludności, ale przyniosło wielkie inwestycje w budowę linii kolejowych, sieci telegraficznych oraz edukację. Jak podkreśla Ferguson, zaczęto kształcić Indusów, zatrudnianych potem w administracji, w duchu europejskiego oświecenia i prawa anglosaskiego. Dając im też wzorowany na brytyjskim system sądowniczy. Tak zamierzano stworzyć grupę światłych tubylców wiernie służących Londynowi. Tymczasem po raz pierwszy kolonizatorzy zaferowali wyzyskiwanej perle w koronie coś cennego od siebie. Wykształconą, nowoczesną elitę, zdolną do uczynienia z Indii niepodległego państwa. ©

Pociągiem do nowego życia

Przez 75 lat między przeludnionymi miastami wschodniego wybrzeża USA a wiejskimi obszarami zachodu kursowały pociągi wiozące nietypowych pasażerów. Były nimi osierocone i ubogie dzieci, które na preriach wypatrywały szansy na lepsze życie

Zofia

Brzezińska

Sierocy pociąg podczas postoju (ok. 1900 r.)

Czerwiec 1903 r. Wagon skrzypiał przy każdym zakręcie torów, a letni skwar uciążliwie dawał się we znaki wszystkim pasażerom. Pomimo tego mała Mamie nie zdejmowała z siebie beżowego płaszcza z ładnymi, błyszczącymi guzikami. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie miała tak eleganckiej odzieży. Organizatorom podróży Mamie bardzo zależało na tym, aby dzieci dotarły do swych nowych domów przed okresem letnich prac polowych. Przecież niektórzy z opiekunów zdecydowali się je przygarnąć tylko dlatego, że przydałyby im się ręce do pracy w tym gorącym okresie. Mamie miała nadzieję, że jej nowi rodzice dostrzegą w niej kogoś więcej niż dobrą pracownicę. Chociaż właściwie nie do końca wiedziała, czego może się spodziewać. Przez 10 lat całym jej światem były brudne, zatłoczone ulice Nowego Jorku. Dziewczynka zerknęła z cichą zazdrością na siedzące naprzeciwko niej rodzeństwo. Sarah i Sam przynajmniej mieli siebie i razem łatwiej im było stawić czoła nieznanemu. Wreszcie pociąg zatrzymał się na małej stacji w stanie Missouri. Mamie zorientowała się, że jej podróż dobiegła końca. Wzięła głęboki oddech, chwyciła swoją torbę i wyszła za Sarah i Samem ku nowemu życiu.

Między fabryką a ulicą

Taką historię znajdujemy w publikacji „Pasażerowie sierocych pociągów – relacje. Tom 1” (1979). I tak mniej więcej mogły wyglądać przeżycia innych dzieci, które w ramach akcji społecznej Orphan Train zostały wysłane ze wschodu na zachód kraju

w nadziei na lepsze życie. Dwie czołowe instytucje filantropijne – Children’s Aid Society, założona przez filantropa i reformatora społecznego Charlesa Loringa Brace’a, oraz New York Foundling Hospital – prowadziły tę akcję w latach 1853–1929 w celu polepszenia losu dziesiątek tysięcy dzieci ulicy, jakie zamieszkiwały wówczas Nowy Jork. To tam, do największego miasta USA, w pierwszej kolejności kierowali się poszukujący pracy i chleba imigranci z Europy. Dominującą grupę przybyszów stanowili wówczas Irlandczycy uciekający przed katastrofą wielkiego głodu ziemniaczanego z lat 1845–1849. Liczni byli także Niemcy, uciekinierzy po wydarzeniach związanych z Wiosną Ludów (1848 r.). Nie brakowało również przybyszów z zimnej i mało wydajnej rolniczo Skandynawii, Żydów uciekających przed pogromami oraz migrantów ze skrajnie biednych środowisk Galicji. Ogromny napływ ludności sprawił, że w mieście zaczęły szybko narastać problemy społeczne i ekonomiczne. Pracy w przemyśle nie wystarczało dla wszystkich, zatem w sposób nieunikniony szerzyły się bieda, przestępczość i choroby. Obserwatorów zjawiska i filantropów szczególnie poruszał los dzieci.

Wspomniane organizacje szacowały, że nawet 30 tys. dzieci może żyć w skrajnie złych warunkach, na ulicy, albo pracować w fabrykach lub jako pomoc domowa – bez szans na rozwój, edukację, dzieciństwo i przyszłość. Po zachodniej stronie USA, kluczowej dla kraju ze względu na ogromne tereny rolnicze, brakowało rąk do pracy. Idea wysyłania dzieci z przeludnio-



AMERYKA

nych miast wschodu na wiejskie tereny zachodu, gwarantujące nieograniczoną przestrzeń, szybko zyskała popularność. A jeśli dodatkowy potencjał ludzki zdoła odciążyć rodziny farmerów potrzebujące wsparcia w swojej pracy, to korzyść będzie obopólna.

Miejsca przy stole życia

Decyzje zapadły szybko. Pracownicy Children's Aid Society i New York Foundling Hospital zaczęli od werbowania dzieci ulicy: żebrzących, czasem sprzedających gazety. Kiedy wieści o inicjatywie Charlesa Brace'a się rozeszły, do jego instytucji zaczęły zgłaszać się przepelnione sierocińce oraz sami rodzice i opiekunowie pragnący zapewnić dzieciom lepszy byt. Jednocześnie zaczęto przygotowywać grunt dla misji na zachodzie. Children's Aid Society wysyłała listy i broszury do lokalnych gazet, urzędów i parafii, opisując cel przedsięwzięcia oraz zachęcając rodziny do wzięcia dzieci. W odezwach podkreślano nie tylko chrześcijański i patriotyczny wymiar przyjęcia pod dach potrzebujących, ale też praktyczną stronę takiego gestu. Odzew okazał się pozytywny i wiele farmerskich rodzin zadeklarowało gotowość do udziału w programie. Pierwszy pociąg z ok. 45 dziećmi wyruszył z Nowego Jorku do stanu Michigan już w 1854 r.

W początkowych latach programu weryfikacja rodzin, do których trafiały dzieci, była minimalna. Bezdyskusyjnie wymagano jedynie tego, aby rodzina była biała, protestancka i żyła zgodnie z ówczesnie akceptowanymi

normami moralnymi. Na weryfikację składały się głównie rekomendacje ludzi, których w tamtych czasach postrzegano jako autorytety – pastorów, nauczycieli i urzędników, wywodzących się z danej społeczności i znających wskazaną rodzinę. Nikt nie postrzegał również jako problemu tego, że dzieci będą pracować – w protestanckim społeczeństwie praca postrzegana była jako wartość niezbędna do nauki moralnego życia.

Rzadko też miały miejsce formalne adopcje. Większość dzieci przybywała do nowych domów na zasadach ówczesnej „foster care”, czyli pieczy zastępczej. Dziecko trafiało więc „na wychowanie” do nowej rodziny, ale procedura ta nie przewidywała jednolitych struktur działania ani też pieczy państwa. Nieadoptowane dzieci nie mogły liczyć na przyjęcie nazwiska rodziny czy prawo do dziedziczenia. Miały jednak szansę na wyżywienie, dach nad głową, a w najlepszych przypadkach – na stabilne więzi rodzinne, edukację czy nawet drobne wynagrodzenie za pracę. Jednak takie sytuacje nie były regułą i zależały wyłącznie od dobrej woli ich nowych rodzin.

Charles Brace zdawał sobie sprawę z niedoskonałości systemu pieczy zastępczej, jednak zgodnie z jego tokiem myślenia nawet taka obciążona brakami opieka była dla dzieci lepsza niż życie w slumsach lub sierocińcach, które uważał za źródła biedy i przestępczości. Rodzinę – nawet częściowo dysfunkcyjną – uznawał za lepsze środowisko rozwoju dziecka niż jakąkolwiek instytucję. „W każdej amerykańskiej społeczności, szczególnie na zachodzie, jest wiele wolnych miejsc przy stole życia.

Mają wystarczająco dla siebie i dla obcego także” – mówił Brace.

Mimo najbardziej szlachetnych intencji w tak szeroko zakrojonej, a jednocześnie powierzchownie kontrolowanej akcji dochodziło nieuchronnie do wydarzeń, które nigdy nie powinny mieć miejsca. Zdarzały się np. przypadki rozdzielania rodzeństwa albo traktowania przywiezionych dzieci jak towaru. W niektórych relacjach pojawiają się opisy, że rolnicy oglądali dzieci, sprawdzając ich kończyny i stan uzębienia. Lee Nailling, który przyjechał sierocym pociągiem do Teksasu w 1926 r., opowiadał, że farmer włożył mu palec do ust, aby zbadać zęby. „Z trudem powstrzymałem się, żeby go nie ugryźć” – mówił Nailling w wywiadzie dla „The Washington Post” w 1998 r.

Dzieci przed podróżą były uczone zasad zachowania, jakiego od nich oczekiwano. Uświadamiano im, że nowe rodziny będą wymagały posłuszeństwa, pracy, a także przestrzegania zasad higieny. Pasażerka sierocych pociągów Mamie Rose relacjonowała: „Zanim opuściliśmy Brooklyn, nauczono nas zasad jedzenia przy stole. Otrzymaliśmy też nowe komplety ubrań. Po raz pierwszy mogłam założyć beżowy płaszcz z guzikami, w którym czułam się jak księżniczka. Nie wiedziałam jednak, dokąd jedziemy. W podróży towarzyszyli nam mężczyzna i kobieta. Kiedy zatrzymaliśmy się na postój w Chicago, otrzymaliśmy kanapki. W końcu dotarliśmy do Port Rock, małego miasteczka w północnym stanie Missouri. Tam zaprowadzono nas do budynku lokalnej opery. Okazało się, że wszystkie dzieci mają usiąść na scenie, a farmerzy siedzieli na widowni, patrzyli na nas i głośno debatowali, kogo chcą wziąć. Był tam starszy mężczyzna, który chciał wziąć Sarah, moją przyjaciółkę. Ona zaczęła płakać i mówić, że nie pójdzie bez swojego brata Sama. Wtedy inny rolnik zaproponował, że weźmie ich oboje, a starszy mężczyzna wybrał mnie” („Pasażerowie sierocych pociągów – relacje. Tom 1”, 1979).

Im dłużej trwała akcja, tym większą wagę przykładano do warunków, w jakich podróżowały i w jakich zamieszkały później dzieci. Przez 75 lat diametralnie wzrosła świadomość ich potrzeb i wymogów prawidłowego rozwoju. Już w latach 60. i 70. XIX w. pojawiły się pierwsze mechanizmy regulacji tej strony akcji, np. poprzez pierwsze pisemne umowy lub sporadyczne kontrole domów, w których przebywały już dzieci.

Wojna secesyjna (1861–1865) nie zatrzymała akcji, lecz wyraźnie wpłynęła na jej przebieg. W wyniku zbrojnego konfliktu przybyło jeszcze więcej osieroconych dzieci potrzebujących pomocy. Ponadto działania wojenne wymusiły w niektórych przypadkach zmiany w trasach pociągów oraz w logistyce. Kolejną dużą zmianą społeczną, która wpłynęła na zasilenie sierocych pociągów dodatkowymi pasażerami, było zniesienie niewolnictwa w 1865 r. Wiele dzieci, które zyskały wówczas wolność, wylądowało bez dachu nad głową. Nie istniało żadne prawo, które mogłoby zmusić ich byłych właścicieli do pomocy byłym niewolnikom. Jeśli zatem znalazła się rodzina gotowa przyjąć czarnoskóre dzieci – co ze względu na silne uprzedzenia rasowe zdarzało się jednak

rzadko – to takie maluchy również miały szansę znaleźć się w pociągu.

Świat, który dogonił dzieci

Na początku XX w. wiele miast wschodu, w tym Nowy Jork, dalej borykało się z ogromnymi problemami społecznymi. Imigracja z Europy była nadal liczna, a potrzebujących pomocy dzieci nie ubywało. Akcja Orphan Train była zatem kontynuowana, lecz coraz częściej spotykała się z krytyką.

Coraz powszechniej wskazywano na problematyczne zagadnienia przedsięwzięcia, w tym na instrumentalne traktowanie dzieci i wykorzystywanie ich pracy. Coraz częściej też różne organizacje dobroczynne, zamiast kierować swoich podopiecznych na zachód, starały się zapewnić im lokalną adopcję. Liczba pasażerów sierocych pociągów – która w XIX w. wynosiła nawet kilkaset dzieci rocznie – wyraźnie malała.

Ogromny wpływ na zmianę mentalności wobec dzieci, ich pracy oraz opieki społecznej przyniosła I wojna światowa, znana w USA jako Wielka Wojna. Po jej zakończeniu wprowadzono nowe prawa dotyczące ochrony dzieci i młodzieży, w tym przepisy regulujące warunki ich pracy.

W latach 20. XX w. większość stanów wprowadziła przepisy regulujące adopcję i opiekę zastępczą. Rodziny pragnące przyjąć dziecko weryfikowano już nie tylko pod kątem „moralności” i religii, lecz także wydolności wychowawczej i możliwości finansowych. Jednocześnie zachodziły nieuniknione zmiany w samym rolnictwie, którego postępująca mechanizacja sprawiła, że zapotrzebowanie na dziecięcych pracowników zdecydowanie spadło. Ostatni pociąg z dziecięcymi pasażerami wyruszył więc na zachód w 1929 r.

Szacuje się, że w ramach akcji przewieziono na zachód ok. 250 tys. dzieci. Współczesne oceny przedsięwzięcia są ambiwalentne. Nie ulega wątpliwości, że mnóstwo dzieci potraktowano po prostu jak darmową siłę roboczą. Wiele z nich zapewne padło ofiarą przemocy fizycznej, psychicznej lub seksualnej. Niektóre miały jednak szczęście i dzięki tej akcji znalazły nowy dom oraz kochającą rodzinę. Znaną są przypadki osób, które jako dzieci podróżowały sierocymi pociągami, a w dorosłym życiu odniosły sukcesy, jak gubernator Alaski John Green Brady (1847–1918) oraz gubernator Dakoty Północnej Andrew Burke (1850–1918). Obecnie o zachowanie pamięci na temat tych wydarzeń dba Narodowe Muzeum Sierocych Pociągów, które znajduje się w mieście Concordia w stanie Kansas. Sieroce pociągi są również tłem powieści beletrystycznej o takim tytule autorstwa Christiny Baker Kline. Echa tamtych wydarzeń można odnaleźć nawet w kultowej powieści L.M. Montgomery, „Ania z Zielonego Wzgórza”. Chociaż jej akcja rozgrywa się w Kanadzie, to obecny tam motyw wyboru przez rodzinę farmerów dziecka do pomocy w pracach gospodarskich ludzako przypomina scenariusz sprzedania rasowe zdarzało się jednak



FOT. KANSAS STATE HISTORICAL SOCIETY/MINNEAPOLIS STAR TRIBUNE/TNS VIA ZUMA WIRE/BE&W

KOMUNIKATY

OBWIESZCZENIE WOJEWODY MAZOWIECKIEGO

Zgodnie z art. 15 ust. 4 w związku z art. 8 ust. 1 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz. U. z 2025 r., poz. 1222) oraz z art. 9-10 § 1 i art. 61 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2025 r., poz. 1691), dalej Kpa, niniejszym zawiadamia się, że wniosek inwestora zostało wszczęte postępowanie administracyjne w sprawie wydania decyzji o pozwoleniu na budowę dla:

- inwestor:** Operator Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A.,
ul. Mszczonowska 4, 02-337 Warszawa,
- inwestycja:** „Budowa gazociągu DN500 MOP 8,4MPa relacji Wola Karczewska – Karczew w ramach budowy gazociągów w celu zmiany przebiegu trasy istniejącego gazociągu wysokiego ciśnienia relacji „Mory - Wola Karczewska”, polegającej na budowie gazociągu wysokiego ciśnienia DNS00 MOP 8,4 MPa wraz z infrastrukturą towarzyszącą, zlokalizowanego w województwie mazowieckim, powiecie otwockim, gminach: Karczew, Otwock, Celestynów oraz Wiązowna”.

Adres zamierzenia inwestycyjnego: gmina Karczew, gmina Otwock, gmina Celestynów, gmina Wiązowna, powiat otwocki, województwo mazowieckie,

Gmina Otwock jedn. nr ew.141702 1

- obręb 0146 dz. nr ew. 5
- obręb 0161 dz. nr ew. 10, 16, 19, 13, 2, 3, 8, 4, 12/1, 17, 20, 14
- obręb 0162 dz. nr ew. 8/2, 8/3, 5, 2, 1, 3, 8/1, 6/1, 6/2, 11, 12
- obręb 0165 dz. nr ew. 3
- obręb 0188 dz. nr ew. 41
- obręb 0192 dz. nr ew. 26/2, 10, 11, 14, 15, 16, 17, 18/2, 21, 37, 22/2, 24, 25/2, 31, 27/2, 28/2, 29/2, 30, 32, 33/2, 36, 40, 13, 19/2, 39, 8, 9
- obręb 0193 dz. nr ew. 1/2, 65, 44/2, 2/2, 35, 51/5, 63/2, 12/4, 10/2, 11/2, 16, 17/2, 19, 20, 21/2, 22/2, 24, 25, 26/2, 28/2, 29/2, 3/2, 30, 31, 32, 33, 36, 37, 38, 34, 39, 40, 41, 42, 43/2, 45/2, 49/4, 47, 48, 50/4, 5, 52/3, 54/3, 53/3, 6, 60, 61, 62, 67, 7, 72, 9/2, 23, 66/2, 73/2, 8/2
- obręb 0194 dz. nr ew. 14, 13, 12, 17/8, 19, 17/4, 17/5
- obręb 0195 dz. nr ew. 12, 106, 13, 14, 16, 2, 20, 21, 23, 24, 28, 29, 3, 31, 33, 34, 35, 38, 41, 37, 42, 44, 46, 32, 36, 45, 4, 1, 10
- obręb 0197 dz. nr ew. 24, 3, 25, 2

Gmina Celestynów jedn. nr ew.141703 2

- obręb 0004 Głina dz. nr ew. 9/11, 9/12, 1, 10, 8, 15, 7
- obręb 0010 Pogorzel Warszawska dz. nr ew. 144, 716, 724, 743, 85, 92, 129, 1555, 747, 125, 1554, 746, 122, 142, 100, 742, 148, 274, 705, 275, 723, 149, 91, 104, 128, 139, 708, 1546, 737, 693, 114, 84, 131, 700, 763, 1653, 147, 126, 99, 720, 145, 89, 105, 138, 707, 117, 132, 696, 118, 694, 119, 141, 133, 143, 121, 729, 282, 150, 276, 713, 88, 102, 698, 744, 709, 1552, 1548, 739, 135, 101, 111, 123, 279, 704, 109, 108, 712, 86, 695, 519, 113, 98, 140, 1547, 738, 281, 733, 762, 710, 157, 1640, 732, 107, 734, 278, 725, 115, 90, 721, 741, 83, 120, 158, 130, 735, 1639, 137, 1549, 283, 1544, 520, 706, 134, 1545, 711, 277, 106, 110, 1600, 728, 82, 280, 116, 726, 96, 146, 272, 718, 692, 95, 124, 1551, 717, 87, 94, 1553, 103, 745, 112, 136, 703/2, 127, 1550, 97, 273, 93
- obręb 0012 Stara wieś dz. nr ew. 725/3, 720, 726, 727, 721, 719, 716/6, 725/1

Gmina Karczew jedn. nr ew.141704 4

- obręb 0017 dz. nr ew. 8, 10, 501, 17, 19, 21, 500, 5, 83/1, 83/2, 13/1, 15/1, 13/2, 15/2, 83/4, 4, 3
- obręb 0018 dz. nr ew. 510/1
- obręb 0002 dz. nr ew. 515, 516, 75, 103, 85, 87, 83, 97, 89, 100, 101, 517, 312, 65, 91, 73, 69, 102, 81, 98, 99, 228/5, 520/1, 56/1, 509/1, 184, 310, 185, 188, 311, 189, 63, 59, 61, 54, 55, 52, 187, 79, 93, 186, 57, 53, 95, 67, 77, 71
- obręb 0003 dz. nr ew. 29, 27, 25, 28, 32, 33, 34, 35, 36, 78, 38, 79, 93, 103, 97, 115, 118, 120, 121, 30, 31, 39/1, 81, 89, 85, 91, 95, 98, 99, 107, 105, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 116, 117, 119, 122, 124, 137, 123, 26, 4, 136
- obręb 0004 dz. nr ew. 82/1, 82/2, 82/3, 88/1, 88/2, 89/1, 88/3, 89/2, 89/3, 612, 74, 71, 78, 77, 75, 83, 84, 70, 99, 501, 512, 568, 571, 577, 578, 579, 580, 574, 575, 581, 576
- obręb 0040 dz. nr ew. 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 1, 33, 2
- obręb 0041 dz. nr ew. 6, 9, 12, 15, 18, 21, 24, 27, 33, 36, 39, 42, 45, 48, 51, 30, 93
- obręb 0046 dz. nr ew. 502, 1/2, 522, 583, 518, 49, 515, 504, 506, 508, 507, 13, 526, 134, 524, 523, 17, 511, 77, 16, 29, 32, 585, 9, 2, 73, 74, 1/3, 26, 27, 503, 6, 30, 34, 48, 33, 31, 75, 514
- obręb 0005 dz. nr ew. 47, 532/2, 97/2, 96/1, 99/1, 84, 86, 48, 100, 99/3, 99/4, 538, 98, 92/2, 93/2, 95, 91, 85, 87, 88, 89, 90, 502, 46
- obręb 0007 dz. nr ew. 512, 510, 511, 152, 155, 158, 143, 147, 170, 148, 71, 161, 163, 167, 168, 154, 78, 82, 83, 74, 136, 151, 59, 64, 137, 60, 141, 65, 142, 66, 146, 69, 149, 72, 73, 150, 75, 76, 96, 77, 153, 160, 85, 79, 156, 80, 81, 157, 159, 84, 86, 162, 88, 164, 90, 91, 165, 166, 92, 93, 100, 94, 99, 95, 169, 97, 138, 61, 140, 139, 62, 63, 144, 67, 145, 68, 70, 87, 89, 525/1, 516, 517, 102, 98
- obręb 0008 dz. nr ew. 319
- obręb 0009 dz. nr ew. 72/1, 501

Gmina Wiązowna jedn. nr ew.141708 2

- obręb 0024 Wola Karczewska dz. nr ew. 67, 70, 71, 72, 62/4, 64/2, 65/2, 66/2, 94/2, 61/6, 62/6, 63/2, 61/4, 69, 68/3
- obręb 0023 Wola Ducka dz. nr ew. 542.

Ponadto informuję, że w przedmiotowej sprawie zostało wydane postanowienie nakładające na pełnomocnika inwestora obowiązek uzupełnienia nieprawidłowości i braków w przedłożonym projekcie budowlanym.

Stosownie do treści art. 8 ust. 1 ww. ustawy o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu informuję, że akta przedmiotowej sprawy znajdują się do wglądu w Wydziale Infrastruktury Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie, pl. Bankowy 3/5, 00-950 Warszawa, pokój 7 POK (w godzinach 13.00 - 16.00 – poniedziałek, 8.00 - 12.00 – czwartek), gdzie do czasu wydania orzeczenia, strony mogą się zapoznać ze zgromadzonym materiałem dowodowym.

Strona chcąca zapoznać się z aktami postępowania może tego dokonać na pl. Bankowym 3/5 pok. 7 w poniedziałek w godz. 13.00 - 16.00 lub w czwartek w godz. 8.00 - 12.00 **po wcześniejszym umówieniu się telefonicznym pod nr 22 695-62-19. Osoby nieumówione nie będą obsługiwane.**

Informacja ta ma na celu jedynie przedstawienie aktualnego stanu postępowania. Podczas jej trwania strony nie uzyskają informacji o planowanym terminie zakończenia postępowania ani nie otrzymają informacji merytorycznych.

Czas przeznaczony na zapoznanie się z aktami wynosi do 30 min i nie może zostać przedłużony.

Zgodnie z art. 41 § 1 Kpa w toku postępowania strony oraz ich przedstawiciele i pełnomocnicy mają obowiązek zawiadomić organ administracji publicznej o każdej zmianie swego adresu. W myśl art. 41 § 2 Kpa zaniedbanie tego obowiązku powoduje, że doręczenie pisma pod dotychczasowym adresem ma skutek prawny.

Zgodnie z art. 49 Kpa doręczenie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia. W trakcie prowadzonego postępowania, o czynnościach tutejszego organu, strony postępowania będą informowane w drodze publicznych obwieszczeń, zgodnie z art. 49 § 1 ww. ustawy.

Data publicznego obwieszczenia: 20 lutego2026 r.
Znak sprawy: WIR-I.7840.8.9.2025.LK/AC

Wyciąg z Ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa
o III przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości położonej
w rejonie ul. Generała Tadeusza Klimeckiego w Tarnowie

1. Do sprzedaży przeznaczą się nieruchomości położoną w obrębie 281 oznaczoną numerem działki 389 o pow. 2507 m² objętą księgą wieczystą TR1T/00066098/9 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie.
2. Nieruchomość przeznaczona jest do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.
3. **Cena wywoławcza dla nieruchomości wynosi 765 000,00 zł brutto (słownie: siedemset sześćdziesiąt pięć tysięcy złotych)**, w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **22 kwietnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy ul. Wałowej 10, I piętro, Sala Boczna przy Sali Lustrzanej o godz. **9⁴⁰**.
5. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą wadium w pieniądzu w wysokości **114 750,00 zł (słownie: sto czternaście tysięcy siedemset pięćdziesiąt złotych) na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO BP SA Nr 15 1020 2892 0000 5002 0765 9693 w taki sposób, aby najpóźniej w dniu 15 kwietnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny nieograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tuł. Urzędu.**
6. Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicach ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i Nowa 4, a także opublikowane na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
7. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. 204, II piętro, Tel. (14) 68 82 754.

Wyciąg z ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa
o I przetargu ustnym ograniczonym na sprzedaż nieruchomości położonej
w rejonie ul. Urszulańskiej w Tarnowie.

1. Do sprzedaży przeznaczą się nieruchomości położoną w rejonie ul. Urszulańskiej w Tarnowie stanowiącą własność Gminy Miasta Tarnowa, oznaczony numerami działki 132/6 obręb 252 o powierzchni 1527 m² objętą księgą wieczystą TR1T/00085863/2 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie;
2. Nieruchomości przeznaczony jest do sprzedaży w trybie przetargu ustnego ograniczonego do właścicieli nieruchomości przyległych oznaczonych numerami 132/5 obręb 252 lub 133 obręb 252 lub 134 obręb 252 lub 62 obręb 252 lub 63/1 obręb 252.
3. Cena wywoławcza dla nieruchomości wynosi: **610 000,00 zł brutto (słownie: sześćset dziesięć tysięcy złotych)**, w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **22 kwietnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy **ul. Wałowa 10, I piętro Sala Boczna przy Sali Lustrzanej o godz. 9⁰⁰**.
5. W przetargu mogą brać udział właściciele nieruchomości przyległych, które wpłacą **wadium** w pieniądzu w wysokości **91 500,00 zł (słownie: dziewięćdziesiąt jeden tysięcy pięćset złotych)** na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO Bank Polski Nr **15 1020 2892 0000 5002 0765 9693** w taki sposób, **aby najpóźniej w dniu 15 kwietnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny ograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tuł. Urzędu.**
6. Warunkiem niezbędnym do uczestnictwa w przetargu jest wpłata wadium i złożenie przez właściciela nieruchomości przyległej pisemnego oświadczenia o uczestnictwie w przetargu. Oświadczenie należy złożyć w terminie do dnia 15 kwietnia 2026 roku, w godzinach pracy Urzędu Miasta Tarnowa w Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3 pok. 212.
7. Ogłoszenie o przetargu wywieszone zostało na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i 4, a także opublikowane zostało na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
8. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. nr 205, II piętro, tel. (14) 68 82 755.

Wyciąg z Ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa
o II przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości położonej
w rejonie ul. Wojska Polskiego w Tarnowie

1. Do sprzedaży przeznaczą się kompleks stanowiący własność Gminy Miasta Tarnowa położony w Tarnowie, w rejonie ul. Wojska Polskiego, w obrębie 151, składający się z działek numer 50/7 o pow. 164 m² i 73/8 o pow. 1682 m² objętych księgą wieczystą TR1T/00072550/1 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie, 43/39 o pow. 2467 m², 48/6 o pow. 2947 m² i 108/32 o pow. 488 m² objętych księgą wieczystą TR1T/00169981/8 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie oraz 107/34 o pow. 700 m² objętej księgą wieczystą TR1T/00018436/0 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie.
2. Kompleks jest przeznaczony do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.
3. **Cena wywoławcza dla kompleksu wynosi 2 970 000,00 zł brutto (słownie: dwa miliony dziewięćset siedemdziesiąt tysięcy złotych)**, w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **22 kwietnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy ul. Wałowej 10, I piętro, Sala Boczna przy Sali Lustrzanej o godz. **9²⁰**.
5. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą wadium w pieniądzu w wysokości **445 500,00 zł (słownie: czterysta czterdzieści pięć tysięcy pięćset złotych) na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO BP SA Nr 15 1020 2892 0000 5002 0765 9693 w taki sposób, aby najpóźniej w dniu 15 kwietnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny nieograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tuł. Urzędu.**
6. Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicach ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i Nowa 4, a także opublikowane na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
7. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. 204, II piętro, Tel. (14) 68 82 754.

KOMUNIKATY



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA
O PRZETARGU USTNYM NIEOGRANICZONYM

ogłoszonym przez Zarząd Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy
na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 11 usytuowanego w budynku
położonym w Warszawie w Dzielnicy Śródmieście
przy ul. Okrąg 2 wraz z udziałem w prawie własności gruntu.

Przedmiotem przetargu jest sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 11 o powierzchni użytkowej 150,99 m² stanowiącego własność m.st. Warszawy usytuowanego w budynku położonym przy ul. Okrąg 2. Z przedmiotowym lokalem związany jest udział w wysokości 15099/592063 w częściach wspólnych budynku i jego urządzeń, które nie służą do wyłącznego użytku właścicieli poszczególnych lokali oraz taki sam udział w prawie własności gruntu, na którym znajduje się budynek, oznaczonego jako działka ewidencyjna nr 40 o powierzchni 1981 m² w obrębie 5-06-04.

Lokal mieszkalny nr 11 o powierzchni użytkowej 150,99 m² wraz z udziałem w nieruchomości wspólnej w wysokości 15099/592063 oraz takim samym udziałem w prawie własności gruntu, usytuowany na V piętrze (VI kondygnacji nadziemnej), składa się z 4 pokoi, kuchni, łazienki z wc, wc, przedpokoju, pomieszczenia gospodarczego oraz schowka; lokal do remontu;

Cena wywoławcza: 2 600 000 zł
Wadium (wniesione w pieniądzu): 260 000 zł
Minimalne postąpienie: 26 000 zł

Podana cena nie zawiera podatku od towarów i usług (VAT). Sprzedaż lokalu zwolniona jest od podatku VAT na mocy art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2025 r. poz. 775 z późn. zm.).

Udział w przetargu mogą brać osoby fizyczne i prawne oraz jednostki organizacyjne nieposiadające osobowości prawnej, którym ustawa przyznaje zdolność prawną, które terminowo wpłacą wadium i złożą zgłoszenie udziału w przetargu wraz z wymaganymi załącznikami (zgłoszenie stanowi załącznik nr 1 do Regulaminu przetargu).

Wadium winno być wpłacone na rachunek Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy: Bank Handlowy S.A. w Warszawie Nr 60 1030 1508 0000 0005 5001 0135 do dnia **22 kwietnia 2026 r.** Za datę wpłacenia wadium uważa się wpływ wymaganej kwoty na ww. rachunek bankowy. Tytuł wpłaty wadium winien jednoznacznie wskazywać uczestnika przetargu oraz lokal, którego wadium dotyczy.

Przetarg odbędzie się w dniu 27 kwietnia 2026 r. o godzinie 11.00 w siedzibie Urzędu Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy przy ul. Nowogrodzkiej 43, I piętro - sala konferencyjna.

Ogłoszenie o przetargu zostało opublikowane na stronach internetowych Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy srodmiescie.um.warszawa.pl oraz zamieszczone w Biuletynie Informacji Publicznej Miasta Stołecznego Warszawy, a także na Elektronicznej Tablicy Ogłoszeń Urzędu m.st. Warszawy (ETO).

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Wydziale Zarządzania Nieruchomościami dla Dzielnicy Śródmieście, tel. (22) 443 94 35 lub (22) 443 94 37, e-mail: srodmiescie.rob@um.warszawa.pl od poniedziałku do piątku w godz. 8.00 – 16.00, w okresie od ukazania się ogłoszenia do terminu przetargu.



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA
O PRZETARGU USTNYM NIEOGRANICZONYM

ogłoszonym przez Zarząd Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy
na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 2a usytuowanego w budynku
położonym w Warszawie w Dzielnicy Śródmieście
przy ul. S. Noakowskiego 10 wraz z udziałem w prawie własności gruntu.

Przedmiotem przetargu jest sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 2a o powierzchni użytkowej 101,94 m² stanowiącego własność m.st. Warszawy usytuowanego w budynku położonym przy ul. S. Noakowskiego 10. Z przedmiotowym lokalem związany jest udział w wysokości 285/10000 w częściach wspólnych budynku i jego urządzeń, które nie służą do wyłącznego użytku właścicieli poszczególnych lokali oraz taki sam udział w prawie własności gruntu, na którym znajduje się budynek, oznaczonego jako działka ewidencyjna nr 45 o powierzchni 589 m² w obrębie 5-05-05.

Lokal mieszkalny nr 2a o powierzchni użytkowej 101,94 m² wraz z udziałem w nieruchomości wspólnej w wysokości 285/10000 oraz takim samym udziałem w prawie własności gruntu, usytuowany na I piętrze (II kondygnacji naziemnej), składa się z 3 pokoi, kuchni, przedpokoju, łazienki i wc.; do lokalu przylegają dwa balkony; lokal do remontu.

Cena wywoławcza: 1 600 000 zł
Wadium (wniesione w pieniądzu): 160 000 zł
Minimalne postąpienie: 16 000 zł

Podana cena nie zawiera podatku od towarów i usług (VAT). Sprzedaż lokalu zwolniona jest od podatku VAT na mocy art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2025 r. poz. 775 z późn. zm.).

W związku z wpisaniem budynku do rejestru zabytków pod numerem A-778, cena lokalu osiągnięta w przetargu zostanie pomniejszona o bonifikatę w wysokości 0,01% na podstawie uchwały nr XV/607/2025 Rady m.st. Warszawy z dnia 20 lutego 2025 r., pod warunkiem złożenia wniosku przez nabywcę (art. 68 ust. 3 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami). Ww. wniosek powinien zostać złożony przed podpisaniem protokołu z przetargu.

Udział w przetargu mogą brać osoby fizyczne i prawne oraz jednostki organizacyjne nieposiadające osobowości prawnej, którym ustawa przyznaje zdolność prawną, które terminowo wpłacą wadium i złożą zgłoszenie udziału w przetargu wraz z wymaganymi załącznikami (zgłoszenie stanowi załącznik nr 1 do Regulaminu przetargu).

Wadium winno być wpłacone na rachunek Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy: Bank Handlowy S.A. w Warszawie Nr 60 1030 1508 0000 0005 5001 0135 do dnia **22 kwietnia 2026 r.** Za datę wpłacenia wadium uważa się wpływ wymaganej kwoty na ww. rachunek bankowy. Tytuł wpłaty wadium winien jednoznacznie wskazywać uczestnika przetargu oraz lokal, którego wadium dotyczy.

Przetarg odbędzie się w dniu 27 kwietnia 2026 r. o godzinie 10.00 w siedzibie Urzędu Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy przy ul. Nowogrodzkiej 43, I piętro - sala konferencyjna.

Ogłoszenie o przetargu zostało opublikowane na stronach internetowych Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy srodmiescie.um.warszawa.pl oraz zamieszczone w Biuletynie Informacji Publicznej Miasta Stołecznego Warszawy, a także na Elektronicznej Tablicy Ogłoszeń Urzędu m.st. Warszawy (ETO).

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Wydziale Zarządzania Nieruchomościami dla Dzielnicy Śródmieście, tel. (22) 443 94 33 lub (22) 443 94 37, e-mail: srodmiescie.rob@um.warszawa.pl od poniedziałku do piątku w godz. 8.00 – 16.00, w okresie od ukazania się ogłoszenia do terminu przetargu.



Mniej Więcej

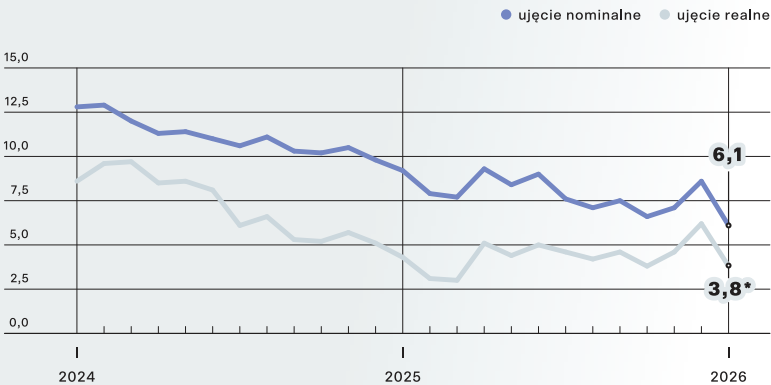
Łukasz

Wilkowicz

Zima w gospodarce

Styczniowe mrozy nie sprzyjały aktywności gospodarczej – pokazały czwartkowe dane GUS. Średnia płaca w sektorze przedsiębiorstw wyniosła 9002,47 zł i była o 6,1 proc. wyższa niż rok wcześniej. To najmniejszy wzrost od niemal pięciu lat, a spowolnienie jest po części związane z niskim w tym roku wzrostem płacy minimalnej. Niekorzystny wpływ zimy widać zwłaszcza w wynikach przemysłu i budownictwa. Sprzedaż krajowych fabryk była realnie o 1,5 proc. mniejsza niż rok wcześniej. W budownictwie spadek wyniósł 12,8 proc., a w segmencie wznoszenia budynków 18,4 proc. Liczba mieszkań oddanych do użytku (14,7 tys.) była o 8 proc. niższa niż rok wcześniej. ©©

Roczna zmiana średniej płacy w sektorze przedsiębiorstw (proc.)



Źródło: dane GUS

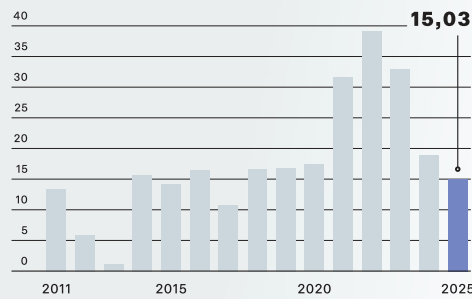
* szacunki DGP na podstawie danych GUS

LR ©©

Słaby rok w inwestycjach bezpośrednich

Napływ zagranicznych inwestycji bezpośrednich do Polski w 2025 r. nieznacznie przekroczył 15 mld euro – wynika z danych NBP. To najniższy wynik od 2017 r. Wtedy na statystyki wpłynął wykup akcji Banku Pekao należących do włoskiej grupy UniCredit. Teraz transakcji repolonizacyjnych o podobnej skali nie było. „Głównym problemem jest słaba koniunktura w strefie euro (zwłaszcza w Niemczech), która ogranicza środki inwestowane przez zagraniczne koncerny” – twierdzą analitycy mBanku. Dodajmy, że saldo inwestycji jest obniżane przez wypłaty dywidend dla zagranicznych właścicieli. W pierwszych trzech kwartałach 2025 r. otrzymali oni ok. 13,8 mld euro (w całym 2024 r. było to 14,8 mld euro). ©©

Napływ netto bezpośrednich inwestycji zagranicznych do Polski (mld euro)



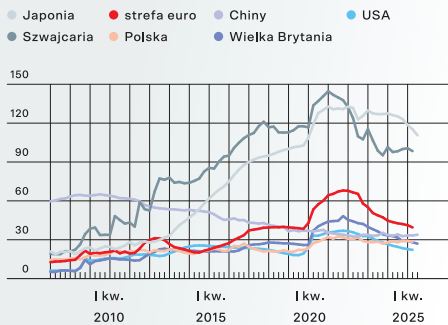
Źródło: dane NBP

LR ©©

Polityczna polityka pieniężna

„Financial Times” napisał, że Christine Lagarde, prezes Europejskiego Banku Centralnego, nie przepracuje całej ośmioletniej kadencji, która powinna się skończyć w 2027 r. Chce dać szansę na wybór na swojego następcę prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi (w znaczeniu szefa EBC najważniejszą do powiedzenia mają dwa główne kraje Eurolandu: Niemcy i Francja), którego kadencja kończy się wcześniej niż jej. EBC to najważniejszy bank centralny na świecie po amerykańskiej Rezerwie Federalnej, ale w zestawieniu ze skalą gospodarki, w której ustala koszt pieniądza, nie jest taki duży. Aktywa EBC stanowią 40 proc. rocznego PKB strefy euro. Kilka razy więcej jest w Chinach czy Szwajcarii. ©©

Aktywa wybranych banków centralnych (proc.)



Źródło: BIS

LR ©©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Jak Ameryka Trumpa nadrabia stracony czas

Rafał Woś

Ilekcio jakiś komentator zaczyna mówić o „chaotycznej i nieprzewidywalnej” prezydenturze Donalda Trumpa, nie wiem, czy mam płakać, czy się śmiać. Niby normalną reakcją na taki przejaw ignorancji komentariatu powinien być pobłażliwy uśmiech. Ponadto przeraża świadomość, że ów komentarz tworzy w narodzie opinie na ważne tematy, a na takim fałszywym fundamencie (Trump szaleniec) buduje się potem wyrafinowane konstrukcje. Jak np. modny ostatnio w Europie antyamerykanizm. I wtedy już do śmiechu nie jest.

Osobom zainteresowanym, jak jest naprawdę, polecam rzeczową analizę polityki 47. prezydenta USA w dowolnej ważnej kwestii. Weźmy suwerenność surowcową. Kluczowe surowce można podzielić na energetyczne (ropa, węgiel, gaz) i nieenergetyczne. Wśród tych drugich ważną podgrupę stanowią pierwiastki ziem rzadkich. Z grubsza stoi na nich wszystko, co da się włączyć i wyłączyć przyciskiem on/off.

Aż do końca zimnej wojny Ameryka była na tym polu światowym hegemonem. Potem sobie jednak odpuściła. Jej udział w światowej produkcji „rare earths” spadł w 2015 r. do kilku procent. Odwrotnie Chińczycy. Oni – zgodnie ze słowami przewodniczącego Denga z lat 80. – postanowili, że „tak jak Arabowie mają ropę, tak oni będą potentatem na polu wspomnianych metali”. I plan zrealizowali. U progu XXI w. USA w 90 proc. pokrywały swoje zapotrzebowanie na pierwiastki ziem rzadkich importem. Z tego ok. 70 proc. sprowadzano z Chin.

Aż do nastania w Białym Domu pierwszego Trumpa temat pozostawał poza radarem amerykańskiej polityki. Mimo że już administracja Baracka Obamy radośnie weszła w trend przedstawiania gospodarki na zielone technologie, dla których metale ziem rzadkich są nieodzowne. Trzeba było jednak prezydentury Trumpa, by zbudować w Waszyngtonie świadomość, że Ameryka jest o dwa kroki od totalnego uzależnienia od swojego głównego geopolitycznego rywala, czyli Chin.

Ale były to dopiero przedbiegi. W 2025 r. Trump wrócił z nową, dużo bardziej rozbudowaną agendą surowcową. Zaczęło się od poszerzenia (do 60) listy strate-

gicznych minerałów, w których wydobycie rząd zamierza inwestować miliardy. I to już się dzieje. W lipcu Pentagon kupił większościowe udziały w przedsiębiorstwie MP Materials, operatorze jedynej czynnej w USA kopalni tych pierwiastków, Mountain Pass, w Kalifornii. Jego strategicznym partnerem został Apple. W październiku administracja dofinansowała DFC (U.S. International Development Finance Corporation), instytucję, która zajmuje się inwestowaniem w projekty wydobywcze i przetwórcze metali ziem rzadkich, kwotą prawie 2 mld dol. Trump zapowiedział też, że jego ekipa nie będzie oglądała się na lamente organizacji ekologicznych dotyczące zwiększenia takiej aktywności.

Także polityka celna jest podporządkowana zarysowanemu wyżej celowi. Prezydent może i jest na wojnie celnej z Kanadą, ale metale strategiczne są z niej wyłączone. Zresztą sąsiad z Północy nie ma nic przeciwko, skoro surowce te są od lat jej ważnym towarem eksportowym. Aby zyskać na czasie, jesienią Trump zawarł w tej kwestii roczny rozejm celny z Chinami. Oczywiście wątpliwe, czy zostanie on do końca utrzymany. Władze w Pekinie widzą, że Ameryka próbuje za wszelką cenę uciec od uzależnienia od azjatyckich dostaw.

Dopiero w takim kontekście warto patrzeć na takie miejsca jak Grenlandia. USA są tam obecne wojskowo od czasów II wojny światowej. Trump chciałby też jednak dotrzeć do schowanych pod grubą pokrywą lodową surowców strategicznych. A jest ich niemało – złoża grenlandzkie są mniej więcej równe amerykańskim. Nikt ich obecnie nie wydobywa.

Trumpa wolno nie lubić. Za włosy, poczucie humoru albo co tam jeszcze. Ale robienie z niego polityka krótkowzrocznego i chaotycznego to fundamentalne kłamstwo. A analizy oparte na kłamstwie nigdy nie będą prawdziwymi analizami.

© P

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

Gradualizm w polityce pieniężnej

Jak powinna wyglądać polityka pieniężna w warunkach niepewności?

Nasze zrozumienie mechanizmów gospodarczych wciąż pozostaje niepełne. Zmienne ekonomiczne, które odgrywają rolę w polityce pieniężnej, takie jak np. naturalna stopa procentowa, nie są obserwowalne i musimy je szacować na podstawie danych. To oznacza, że nigdy nie mamy pewności co do ich rzeczywistych wartości. Podobnie parametry modeli – jak np. nachylenie krzywej Phillipsa, określające relację między inflacją a bezrobociem – pozostają przedmiotem rewizji.

Jak powinna wyglądać polityka pieniężna w warunkach niepewności? Cytując prezesa EBC Mario Dragiego z 2019 r.: „W ciemnym pomieszczeniu poruszasz się małymi krokami”. To podejście jest znane jako zasada Brainarda.

William Brainard (Uniwersytet Yale) w 1967 r. rozważył prosty model teoretyczny, w którym władze monetarne dążą do minimalizacji zmienności inflacji. W jego modelu zależy ona od poziomu stóp procentowych oraz od czynników pozostających poza kontrolą banku centralnego – jak szoki naftowe. Kluczowy problem polega na tym, że bank centralny nie ma pewności co do siły oddziaływania zmian stóp procentowych – zna jedynie przeciętny efekt tego mechanizmu. Rzeczywista reakcja może się okazać zarówno silniejsza, jak i słabsza od oczekiwanej.

Brainard pokazał, że w warunkach niepewności odpowiedź banku centralnego na szoki inflacyjne jest słabsza niż w sytuacji, gdy siła oddziaływania polityki pieniężnej jest w pełni znana. Uzasadnienie podejścia jest intuicyjne: im bardziej agresywne dostosowanie stóp procentowych, tym szerszy przedział możliwych wartości, które może ostatecznie przyjąć inflacja. Lepiej więc być ostrożnym.

Nasuwa się pytanie: w jakim stopniu wnioski Brainarda da się uogólnić? Stéphane Dupraz, Sophie Guilloux-Nefussi i Adrian Penalver (wszyscy z Banku Francji) w 2024 r. wskazali na istotną wadę zasady Brainarda. Kluczowe znaczenie dla argumentu na rzecz gradualizmu w polityce pieniężnej ma sposób, w jaki zmieniają się oczekiwania inflacyjne sektora prywatnego. Brainard założył, że nie ulegają one zmianie. Ale czy tak się dzieje? Gdy w reakcji na szok inflacyjny bank centralny jedynie nieznacznie dostosowuje stopy procentowe, oczekiwania inflacyjne mogą się zmienić. Ma to wpływ na procesy cenotwórcze: jeśli oczekujemy wyższej inflacji, przedsiębiorstwa i pracownicy zaczynają podnosić ceny i płace. W konsekwencji rzeczywista inflacja w gospodarce będzie wyższa. Ten mechanizm sprawia, że każdy szok inflacyjny wywiera większy wpływ na gospodarkę w sytuacji, gdy bank

centralny zachowuje się powściągliwie. Oznacza to paradoksalnie, że nadmierna ostrożność może prowadzić do większej, a nie mniejszej niestabilności cen.

Innym argumentem na rzecz ostrożności w polityce pieniężnej jest obawa o reakcję rynków finansowych: banki centralne nie chcą dużymi zmianami stóp procentowych wywoływać paniki. Jeremy Stein i Adi Sunderam (oba z Uniwersytetu Harvarda) w 2018 r. dowiedli, że i tu nadmierna ostrożność może być kontrproduktywna. Założyli, że bank centralny dysponuje poufnymi informacjami, np. o stanie gospodarki – i gdy postępuje nader delikatnie, każde słowo w jego oświadczeniach jest analizowane przez uczestników rynku, którzy doszukują się ukrytych znaczeń. W takim środowisku nawet najmniejszy ruch stóp procentowych jest traktowany jako bardzo silny sygnał o zamiarach banku centralnego. Paradoksalnie, małe, ostrożne ruchy wywołują właśnie silne efekty, których ostrożne zachowanie miało uniknąć.

Wspólną cechą tych przykładów jest to, że sposób działania banku centralnego zmienia to, jak zachowują się pozostali uczestnicy rynku. W takich warunkach nadmierna powściągliwość może przynieść efekty odwrotne do zamierzonych. Nie oznacza to, rzecz jasna, że banki centralne powinny działać w sposób nieprzewidywalny.

© P

Piotr

Żoch

Autor jest ekonomistą GRAPE